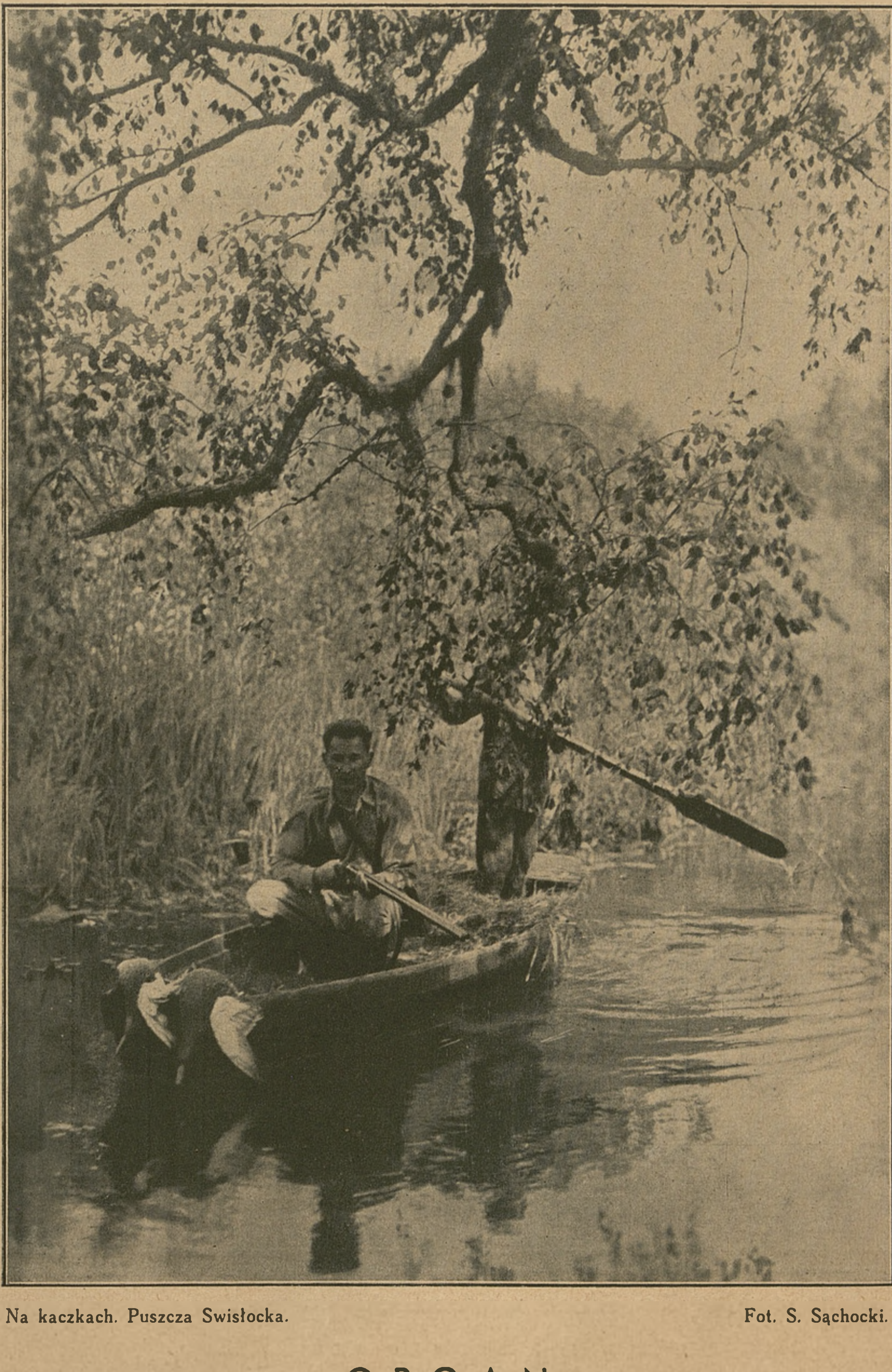
ŁOWIEC POLSKI



Na kaczkach. Puszcza Swisłocka. Fot. S. Sąchocki.

ORGAN
POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr 21 (905) 20 LIPCA 1938 R.

CENA ZŁ. 1.–



Z field-trialsów Setter Klubu w Polsce. Przed rozpoczęciem prób.

X Konkurs Fotograficzny „Łowca Polskiego"

Dorocznym zwyczajem ogłaszamy konkurs fotograficzny na artystyczne zdjęcia łowieckie z 1938 r.

Tematem zdjęć mogą być sceny z życia zwierzyny łownej w warunkach naturalnych, sceny myśliwskie, wreszcie zdjęcia krajobrazowe z terenów łowieckich.

Ponieważ zdjęcia przeznaczone są do reprodukcji w „Łowcu Polskim", przeto miarą wartości nadesłanej fotografji będzie, obok tematu i strony artystycznej zdjęcia, jej przydatność techniczna do reprodukcji. W tym celu format zdjęcia (odbitka z kliszy) nie może być mniejszy, niż 6 × 9, względnie 6 × 6 cm. Z klisz mniejszych rozmiarów, jak „Leica" i inne, muszą być nadsyłane powiększenia. Odbitka powinna być wykonana na papierze bromo-srebrnym w kolorze czarnym. Zdjęcie musi być ostre i wyraźne.

Na konkurs mogą być nadsyłane bądź pojedyńcze fotografje, bądź cykle zdjęć (najmniej 3) tegoż autora. Na każdem zdjęciu powinien być podany tytuł obrazu, marka aparatu oraz godło autora. Imię, nazwisko i adres autora należy dołączyć w osobnej zaklejonej kopercie, opatrzonej godłem, podanem na fotografjach. Każdy autor może nadsyłać fotografje tylko pod jednem godłem.

Wyróżniające się zdjęcia będą nagradzane bądź nagrodami pieniężnemi (7 nagród w kwotach: 150 zł., 100 zł., 75 zł., i 5 po 50 zł.), bądź żetonami (złotemi, srebrnemi i bronzowemi). Zdobywcy nagród pieniężnych, niezależnie od nich, otrzymają również żetony i dyplomy na nie. Nagrody pieniężne będą przyznawane zasadniczo ze serje (szereg zdjęć), żetony — za zdjęcia pojedyńcze.

Jako dodatkowa nagroda za całokształt pracy fotograficznej, autorom nagrodzonych seryj przyznana będzie całoroczna prenumerata „Łowca Polskiego", Ponadto wszyscy autorowie, nagrodzeni na Konkursie, otrzymają zeszyt „Łowca Polskiego", w którym ogłoszony będzie wynik Konkursu fotograficznego. Przy większej ilości zasługujących na wyróżnienie fotografij seryjnych, mogą być przyznane dalsze 3 nagrody w postaci całorocznej prenumeraty „Łowca Polskiego".

Skład Sądu Konkursowego stanowić będą pp. K. Czampe, W. Garczyński, J. Gieysztor, i W. Zabiełło, względnie zastępcy: pp. J. Dylewski i J. Kobylański.

Redakcja zastrzega sobie prawo reprodukcji wszystkich nadesłanych na Konkurs zdjęć fotograficznych oraz prawo ewentualnego udzielania odbitek, lub klisz drukarskich do użytku czasopism krajowych lub zagranicznych w celach propagandowych.

Termin końcowy nadsyłania fotografij na Konkurs ustala się na dzień 31 października r. b.

REDAKCJA „ŁOWCA POLSKIEGO".

NA MARGINESIE ODSZKODOWAŃ ŁOWIECKICH

Przygotowania do nowelizacji prawa łowieckiego obudziły się z dotychczasowego letargu i raźno postępują naprzód. Ministerstwo Rolnictwa i Reform Rolnych rozesłało już wszystkim wojewodom do opinji projekt ustawy o zmianie rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 3 grudnia 1927 r. o prawie łowieckiem. Dział prawny Dyrekcji Naczelnej Lasów Państwowych w Warszawie gromadzi i opracowuje potrzebne materjały — słowem sprawa nowelizacji ruszyła pełną parą.



Polowanie w Nadleśnictwie Krasnystaw. Nadl. Salnicki, Ambasador Noël, mjr. Czajkowski-Wanat, gen. Głuchowski prezes W. T. Ł., rtm. Głębocki. Fot. płk. Onacewicz.

W związku z powyższem uważam, iż nadeszła najodpowiedniejsza chwila, by przypomnieć raz jeszcze o największej bolączce każdego hodowcy - myśliwego — o odszkodowaniach, będących dotąd istną plagą racjonalnej gospodarki łowieckiej. Wysokość rocznego wynagrodzenia za szkody, wyrządzone przez zwierzynę w płodach rolnych, decyduje w większości wypadków o wydzierżawieniu terenu łowieckiego i należytem jego zagospodarowaniu. Stosowany dziś coraz częściej odstrzał redukcyjny wywołany jest zazwyczaj nie względami natury hodowlanej, lecz potrzebą przetrzebienia zwierzostanu z racji dużych odszkodowań. Niektórzy mniej zamożni właściciele ziemscy tępią poprostu lub wypłaszają dziki i jelenie — byle tylko zredukować koszty związane z utrzymaniem tej zwierzyny, zaś reflektanci na dzierżawę terenów — boją się je wydzierżawiać, o ile tylko się dowiedzą, że jest tam zwierz czarny lub płowa zwierzyna.

Stwarza się sytuacja tego rodzaju, iż właściciele łowisk, nie mogąc znaleźć dzierżawców — zabierają się do intensywnego wystrzeliwania tych gatunków zwierząt, które czynią szkody w zasiewach. Tak piękna zwierzynę, jak dziki, do których wzdycha niejeden myśliwy i nie ma okazji spotkania się z niemi—są dziś coraz częściej wybijane w lasach państwowych i dobrach prywatnych przez gajowych, którzy otrzymują jeszcze strzałowe od ubitej sztuki. To samo ma miejsce z odstrzałem sarn — kóz.

Każdy hodowca rozumie potrzebę wynagrodzenia szkód, wyrządzanych przez jego zwierzynę na przyległych polach włościańskich, ale wynagrodzenia w takiej mierze, ile ta strata naprawdę wynosiła. Tymczasem właściciele gruntów, sąsiadujących z lasami państwowemi lub rewirami prywatnemi — zrobili z odszkodowań łowieckich proceder wybitnie dochodowy i ciągną stąd takie zyski, jakich posiadany przez nich kawałek gruntu nigdyby dawać nie mógł.

Pracując w Dyrekcji Lasów Państwowych w Radomiu, wypłacającej corocznie największe ze wszystkich Dyrekcyj lasów odszkodowania łowieckie — zetknąłem się niejednokrotnie z jawnemi nadużyciami w tej dziedzinie, którym jednak w ramach obowiązującej obecnie ustawy łowieckiej przeciwstawić się nie było można i ustalone przez Sąd Rozjemczy wynagrodzenia szkód musiały być wypłacane.

Okoliczne wsie, z każdym rokiem coraz bardziej uświadomione o możliwościach uzyskania odszkodowania i dokładnie poinformowane przez rozmaitych „mędrców" wioskowych o usterkach i brakach naszego prawa łowieckiego — stosują najrozmaitsze sposoby, zmierzające do podwyższenia sumy odszkodowania. O tych „trickach" wspomnę tu pokrótce, gdyż mogą one stanowić cenny materjał dowodowy dla ludzi opracowujących projekt noweli ustawy łowieckiej.

Pierwszym dość często u nas stosowanym sposobem jest obsiewanie pól najbardziej narażonych na odwiedziny zwierzyny zbożem, posiadającem na rynku najwyższą cenę, a więc pszenicą, prosem i t. p. Włościanie sieją pszenicę na takich gruntach, gdzie w żadnym wypadku nie mogłaby ona przynieść plonu i to w dodatku zasiewają bardzo rzadko — nie chcąc marnować cennego nasienia. Wychodząca z lasów zwierzyna, zwłaszcza dziki — pustoszą te pólka, zaś Sąd Rozjemczy ustala sto procent zniszczenia i szacuje szkodę według najwyższej ceny, płaconej za pszenicę w okolicy, podając przytem fantastyczne wprost rozmiary przypuszczalnego plonu. Tak np. na piaszczystej glebie powiatu opoczyńskiego Sąd Rozjemczy ustala plon ziemniaków po 400 korcy z 1 ha! Wieśniak zaś, posiadający 3 morgi obsiane lichem żytem, domaga się odszkodowania w wysokości dwóch tysięcy złotych. Takie i tym podobne kwiatki są na porządku dziennym.

Równie często praktykowane jest stawianie kopców z kartoflami tuż pod lasem, stanowiącym znaną dziczą knieję. Rzecz prosta, iż w takim wypadku — kopiec się nie ostoi, zaś ceny zimowe są bez porównania wyższe od jesiennych i interes całkowicie się opłaca. W celu ułatwienia dzikom dostania się do wnętrza, kopce te są zwykle źle opatrzone i posiadają dla przynęcenia czarnej zwierzyny rozrzucone dookoła ziemniaki zmarznięte lub popsute. A przeszkodzić temu trudno, gdyż właściciel terenu może przecież umieszczać kartofle tam, gdzie mu się podoba.

Szeroko rozpowszechnione jest także czynienie sztucznych szkód. W tym celu włościanie wypędzają nocami trzodę chlewną na łany ziemniaczane, lub młode jałówki na pólka pszenicy, żyta, albo owsa. Powstałe stąd zniszczenia oraz tropy trudne są do odróżnienia od śladów dzików czy jeleni i właściciel łowiska, o ile nie złapał spryciarzy na gorącym uczynku, najczęściej musi wypłacić odszkodowanie. Bywały nawet wypadki pojmania wieśniaka na czynieniu szkód rękami, zaś tropy zwierzyny markował on „sztancą" wystruganą z drzewa.

Taki stan rzeczy zawdzięczać przedewszystkiem należy obecnemu systemowi szacowania szkód. Niewielki tylko odsetek poszkodowanych godzi się na t. zw. dobrowolną ugodę, zawartą pomiędzy właścicielem zniszczonego plonu i właścicielem zwierzyny. Ogromna większość wieśniaków, zwłaszcza z pośród najgorszego elementu gospodarzy, kieruje swe zaża-

lenia do Sądu Rozjemczego, który składa się niemal zawsze z większości osób o tej samej mentalności co i poszkodowani, a to już zgóry przesądza wyrok. Zdarza się także, że członkowie Sądu Rozjemczego nie są ani rolnikami ani myśliwymi, nie potrafią odróżnić tropów zwierzyny i ustalić wielkości szkody. Powstaje stąd istne qui pro quo — niestety żałosne w swych skutkach dla właściciela lub dzierżawcy łowiska.

I te najbardziej przesadne, niedorzeczne orzeczenia Sądów Rozjemczych muszą być jednak respektowane. To jest największem „pudłem" naszej ustawy łowieckiej. Wprawdzie istnieje możliwość odwołania się od takiego wyroku do Sądu Okręgowego, ale tylko w tym wypadku, gdy naruszona została strona formalna postępowania, np. niezachowanie przepisowego terminu czy coś podobnego. Są to poprostu drobiazgi, które prawie nigdy nie mają miejsca i dlatego śmiało można twierdzić, że możliwość zaskarżenia orzeczenia Sądu Rozjemczego nie istnieje wcale. Tak więc Sąd Rozjemczy danej gminy jest panem życia i śmierci wszystkich myśliwych-hodowców w okolicy.

Duży chaos panuje także, jeżeli chodzi o terminy szacowania szkód. W jednych gminach ustala się i szacuje szkodę zaraz po jej stwierdzeniu, gdzieindziej natomiast — po zanotowaniu rozmiarów dokonanego przez zwierzynę spustoszenia — czeka się do jesieni i po zebraniu plonów ocenia wartość szkody. Bywa także bardzo często, że wieśniacy, którzy otrzymali odszkodowanie na wiosnę — występują potem z żądaniami pokrycia różnicy cen, o ile te w międzyczasie wzrosły na rynkach zbożowych. Pozatem trzeba nieraz płacić i za słomę, a nawet za plewy.

Reasumując to wszystko, stwierdzić należy, że sprawa wypłaty odszkodowań w noweli do ustawy o prawie łowieckiem musi być głęboko przemyślana i starannie opracowana na podstawie długoletniego i tak dla nas bolesnego doświadczenia. Nie można tu zlekceważyć żadnego punktu, gdyż każda najdrobniejsza nawet usterka zemści się później stokrotnie.

Dlatego też cały szereg Wojewódzkich Rad Łowieckich poruszał niejednokrotnie na swych posiedzeniach powyższą sprawę i uchwalał wnioski, zmierzające do poprawy obecnego stanu rzeczy. Jakże często spotyka się i wśród poszczególnych myśliwych - hodowców z utyskiwaniem na panujące w dziedzinie odszkodowań stosunki, lecz głosy te brzmią prawie zawsze w ukryciu, nie przedostając się na szersze forum świata łowieckiego i dlatego giną bezużytecznie. A szkoda, bo z doświadczeń ogółu hodowców możnaby opracować naprawdę idealną ustawę, którąby złagodziła wszelkie dotychczasowe niedociągnięcia i bolączki.

W jakim kierunku musi iść oczekiwana reforma?

Przedewszystkiem powinna ona zreorganizować instancję najważniejszą dla gospodarki łowieckiej t. j. Sąd Rozjemczy. Przewodniczącym tego Sądu winien bezwzględnie być fachowiec, a więc powołany przez Starostwo Podłowczy, względnie członek miejscowej Rady Łowieckiej, a już ideał stanowiłby sędzia zawodowy w charakterze przewodniczącego, Podłowczy jako jeden z członków, a sołtys jako drugi członek. Taki Sąd Rozjemczy dawałby gwarancję zupełnej bezstronności i należytego, sprawiedliwego oszacowania szkody *).

Drugim nieodzownym, potrzebnym w ustawie łowieckiej punktem jest prawo odwoływania się od orzeczeń Sądu Rozjemczego do Sądu Okręgowego w każdym wypadku, gdy orzeczenie to nie zadowalnia którejkolwiek ze stron. Ta apelacja od wyroków Sądów Rozjemczych uniemożliwi nadużywanie władzy przez te ostatnie i ukróci nieuczciwość włościan — stawiających przesadnie wygórowane żądania. Dotychczas bowiem właściciel zwierzyny był zdany całkowicie na łaskę i niełaskę miejscowego Sądu Rozjemczego i wiedząc często, iż ma do czynienia z symulacją oraz jawnem nadużyciem — nie mógł się bronić i przyznane odszkodowanie musiał jednak wypłacać, bo strona formalna była w porządku, a tem samem nie przysługiwało mu prawo apelacji.

Trzecią bolączką, na którą pragnę zwrócić uwagę, jest potrzeba ustawowego określenia terminu, kiedy szkody muszą być szacowane. Dotychczas szacuje się je i na wiosnę i jesienią, co nie powinno być stosowane, gdyż w kwietniu albo w maju nie można przewidzieć jakie będą plony w tym roku i oceniając je na podstawie prawdopodobieństwa — zawsze się wygóruje. Ustawa winna jasno ujmować tę sprawę, iż rozmiar dokonanego przez zwierzynę spustoszenia ustala się w ciągu 3 dni od chwili zauważenia, zaś obliczanie wysokości odszkodowania i jego wypłata muszą następować w jesieni w 2-ch terminach: wcześniejszym dla zbóż i późniejszym dla okopowych, kiedy ustalenie plonu nie przedstawia żadnych trudności.

To są trzy najważniejsze punkty, które muszą być w nowej ustawie najstaranniej opracowane, gdyż od nich w dużej mierze zależy pomyślny rozwój przyszłej gospodarki łowieckiej. Bowiem jak zaznaczyłem na wstępie, odszkodowania stanowią dziś gros wydatków na utrzymanie łowiska, dzięki czemu cierpią inne działy hodowli, jak dokarmianie zwierzyny, utrzymanie straży łowieckiej i t. d. W wielu wypadkach hodowca mógłby mieć na swym terenie znacznie lepszy zwierzostan, jednak nie dąży do tego tylko ze względu na powiększanie się sumy odszkodowań. Zaś tam, gdzie stan dzików, sarn czy jeleni osiągnął wysoką cyfrę — coraz częściej stosowany jest intensywny odstrzał redukcyjny, posuwany niejednokrotnie do ostatecznych granic, bo właściciel terenu często nie jest w stanie wypłacać dużych odszkodowań, a dzierżawcy dla tej samej przyczyny znaleźć nie może.

Podam konkretny przykład. Jedna z Dyrekcyj Lasów Państwowych posiada piękny teren łowiecki o powierzchni 4100 ha, obfitujący w sarny, dziki, lisy i zające. Zwierzostan jest wspaniały, roczny odsztrzał rogaczy wynosi 28 sztuk. Tenuta dzierżawna 10 gr. z 1 ha rocznie, zatem bardzo niska. I oto od szeregu lat. Dyrekcja nie może znaleźć na ten objekt reflektanta tylko z tej przyczyny, że roczne odszkodowania wynoszą ponad dwa tysiące złotych. Co będzie dalej? Ano, miejscowa straż leśna odstrzeli przynajmniej 2/3 stanu dzików, zredukuje się o połowę ilość sarn — a wówczas zmniejszą się odszkodowania i niewątpliwie teren zostanie wydzierżawiony. Czy jednak takie stosunki można nazwać normalnemi, a prowadzoną w podobnych warunkach gospodarkę — racjonalną i korzystną dla łowiectwa?

Z utęsknieniem oczekujemy nowelizacji prawa łowieckiego — wierząc, że przyniesie ona uzdrowienie panujących obecnie stosunków i zapewni hodowcom możliwość normalnego zagospodarowania posiadanych terenów łowieckich. Jeszcze jest czas na rzetelne skrytykowanie projektu i usunięcie zauważonych usterek. Niechaj ci wszyscy, którzy spodziewają się lepszego jutra łowieckiego — nie zostaną tem jutrem później niemile zaskoczeni. Dziesięcioletnie doświadczenie pokazało łowiectwu polskiemu, że za opuszczone w ustawie jedno zdanie wyjaśniające, za jeden nieomal wyraz — hodowcy nasi zapłacili tysiące złotych, a dziki, sarny i jelenie złożyły krwawe hekatomby. To nie powinno już się powtórzyć.

LEOPOLD PAC-POMARNACKI

*) Najlepiej byłoby znieść wogóle Sądy Rozjemcze i sprawy przekazywać zwykłym Sądom, które rozstrzygałyby na podstawie opinji biegłych. Przecież i tak Sądy powszechne rozstrzygają sprawy o szkody, wyrządzone w plonach przez inwentarz domowy i niema żadnych skarg na złe rozstrzyganie takich spraw, w istocie niczem nie różniących się od spraw o odszkodowania za szkody zrządzone przez zwierzynę. (Przyp. red.).

Z KARPACKICH TOKÓW

Jesteśmy w sytuacji przysłowiowego żeglarza, który, przepłynąwszy przez morze, zatonął przy brzegu — rzekłem do towarzysza, w chwili gdy rozstrzęsiony „Chevrolet" niepewnie staczał się po pochyłości na chybotliwy mostek. Odpowiedziało mi ostentacyjne milczenie. Kuzyn mój Z. B., pozostały członek wyprawy, nawiasem mówiąc najmilszy człowiek pod słońcem w roli słomianego wdowca, karcił mnie tylko wzrokiem za prowokację losu. Tymczasem nasz wózek spisał się niespodziewanie dobrze. Stęknął dwukrotnie resorami na wybojach, zarzucił na oślizgłych belkach i, jęcząc przepracowanym motorem, wydostał się z opresji. Za sobą mieliśmy ciemno-szafirową toń Czarnego Czeremoszu, pod nami druga jego odnoga, Czeremosz Biały, z wściekłością rozbijał się o głazy. Szum jego miał nam odtąd nieodstępnie towarzyszyć, niemal do samego celu wyprawy. Ale cel ów: skryta wśród gór i lasów koliba, nigdy się nie wydawał bardziej odległy, jak w owej chwili, kiedy od siedziby nadleśnictwa dzieliło nas niespełna 20 km.



Biały głuszec ubity 26.4.1938 r. na wieczornej pieśni przez p. Jana Pustołę w lesie zaścianka Pustelnia (gm. Komaje, pow. Święciańskiego). Fot. B. Pustoła.

Rozpoczął się najgorszy odcinek trasy Kosów — Hryniawa. Droga, a raczej trzymetrowej szerokości bezdroże, w którem po osie grzęzły koła samochodu, wiodła kilkanaście metrów powyżej zbałwanionego nurtu, ogrodzona w najniebezpieczniejszych miejscach zmurszałym płotkiem. Karkołomność podróży powoli powszednieje, wzrok, dotąd bacznie śledzący krawędź urwiska, ulega czarowi dzikiego krajobrazu. Dolinę zamykają zewsząd potężne, choć łagodne masywy Czarnohory, porośnięte po wierzchołki gęstwiną splątanych świerków i tylko czasem hen w górze błysną pokryte śniegiem połoniny. Serce tłucze się niespokojnie w piersi, myśl zaś powtarza jędrne słowa telegramu: „toki rozpoczęte..."

Zmierzchało już, gdy dojeżdżaliśmy do Hryniawy, tymczasowego celu podróży. Wioska ta, napozór niczem nie odbijająca od przeciętnych okolicznych osiedli, jednak dla myśliwych, którzy przebyli z górą tysiąc kilometrów, by zaznać rozkoszy podskakiwania głuszca, ma niesłychanie duże znaczenie emocjonalne. Tu można uzupełnić uszczuplone podróżą zapasy żywności, skorzystać po raz ostatni z dobrodziejstw poczty, tu wreszcie kończy się owa dostępna dla ruchu kołowego droga, słowem ostatnia stanica cywilizacji, przed dłuższym okresem prymitywnego bytowania.

Wśród szczęku starego żelastwa stajemy przed siedzibą nadleśnictwa. Następuje krótka prezentacja. Nadleśniczy radca M. z kresową gościnnością ofiarowuje nam u siebie nocleg i zaprasza na wieczór, poczem wraca do przerwanej pracy. Wychodzimy przed dom. O kilkanaście metrów rozpoczyna się gęsto zalesione zbocze — kilkanaście minut wspinaczki i znajdujemy się na szczycie. Słońce właśnie kryło się za górami, w powietrzu panowała absolutna cisza, tylko strumienie szeptały swe nigdy nie kończące się pacierze. Nagły chłód zmusił nas do odwrotu. Nic dziwnego, wszak to dopiero koniec kwietnia...

Upewnieni co do pogody, kładliśmy się tego wieczoru spać z sercem przepełnionem słodką nadzieją. Ale złudne są ludzkie przewidywania. Ranek wstał mokry, przesłonięty szarugą, wybijającą na szybach swój monotonny werbel. Nisko porozwłóczone chmury przesłaniały horyzont, nie wróżąc rychłego wypogodzenia. Od miejsca toków dzieliło nas jeszcze 40 km. górskich ścieżek, a wiadomo, że kresowe kilometry chociaż węższe, są zato znacznie dłuższe od normalnych. Z ciężkiem sercem udaliśmy się na zwiady. Przy płocie mokły z filozoficznym spokojem dwa huculskie podjezdki, przeznaczone dla nas, jako środki lokomocji.

Spojrzeliśmy po sobie. Nie przestraszała nas długość, ani trudy raidu, niedarmo kuzyn mój anno vicesimo ścierał się z watahami Budiennego, a ja też wiele razy z konia spadałem, ale perspektywa nasiąkania deszczem przez długie godziny wydawała się odrażającą. Koło drugiej niebiosa zdawały się przecierać i decyzja zapadła. Wyruszyliśmy przyodziani w długie gumowe płaszcze z kapturami, do najbliższej leśniczówki.

Rzucona kaprysem ludzkim ścieżyna bryzgała półmetrowem błotem, zwężała się do kilkudziesięciu centymetrów szerokości nad przepaścistemi urwiskami, pięła się na szczyty, by w chwilę później stromym zjazdem dojść do pierwotnego poziomu. Podziwiać należy wytrzymałość huculskich koników, które, niosąc włącznie z bagażem blisko 100 kg. obciążenia, pokonywały bez zachęty wszelkie trudności. Zato na krótkich odcinkach równej drogi żadna siła nie potrafiła ich zmusić do kłusowania. W tych warunkach dopiero o zmroku dobrnęliśmy do pierwszej leśniczówki. Mimo daleko posuniętej gościnności ze strony leśniczego Sz. i jego żony, brak miejsca wykluczał możliwość noclegu.

Około ósmej, w zupełnych ciemnościach wyruszamy w dalszą drogę. Kawalkadę prowadzi leśniczy, za nim ja, mój kuzyn, wreszcie hucuł-przewodnik wraz z kilkunastoletnim wyrostkiem, mającym pełnić obowiązki kucharza obozowego. W świetle elektrycznych latarek błyszczą zjadliwie żółte oka kałuż, mijane drzewa rzucają koszmarne cienie, szczerzą spróchniałe zęby obalone pnie. Zdawaćby się mogło, że wkroczyliśmy do serca nietkniętego ludzką stopą matecznika. W parę dni później wracałem za dnia tą samą trasą, nie znajdując w niej jednak ani krzty z nocnej romantyczności. Wówczas jednak opłatały nas te wyolbrzymione fantazją twory swoim pierwotnym urokiem dziczy. W ciszę nocy nie wdarło się żadne zbyteczne słowo,

czasem tylko gdzieś zadźwięczała podkowa, a trącony kamień z suchym trzaskiem toczył się w dół, ku jednostajnie szumiącej rzece.

Katastrofa przyszła niespodziewanie. Na którymś z niezliczonych mostków, przykrytym półmetrową warstwą błota, mój wierny podjezdek trafił na zdradliwie ukrytą dziurę i w chwilę później leżeliśmy obaj w grzęzawisku. W nagłym błysku latarki zobaczyłem tylko kurczowo wzniesiony łeb wierzchowca, tuż nad bulgocącą powierzchnią. Brnąc po kolana w lepkiej mazi i co chwila tracąc równowagę na oślizgłych belkach, wydostałem go wreszcie z opresji. Jakże błogosławiłem wtedy nieprzeniknione ciemności, uniemożliwiające pozostałym oglądanie mego godnego pożałowania wyglądu. Po upływie godziny dobijaliśmy się do bram drugiej i ostatniej leśniczówki. Minęła dłuższa chwila, zanim wybici ze snu mieszkańcy zdecydowali się nas wpuścić. Przedziwnie smakował koniak po całodziennych trudach...

Nazajutrz wstaliśmy późno. Nie było się czego śpieszyć: odległość od tokowiska wynosiła zaledwie osiem kilometrów, a perspektywa stałego niedosypiania po nocach trzymała twardo w objęciach Morfeusza. Zbudził mnie gwar w sąsiedniej izbie. Ktoś opowiadał w miejscowym „volapüku" głosem drgającym ze wzruszenia jakieś nadzwyczajne zdarzenie, w którem co chwila powtarzały się zwroty: „medwjedj... zwarjował..." Zerwałem się natychmiast z łóżka w przewidywaniu nieszczęśliwego wypadku. Obawy moje były na szczęście płonne. Nie dokończyłem jeszcze tualety, gdy na progu izby stanął roześmiany leśniczy: — Nasza atrakcja przeszła na rumuńską stronę — rzucił od drzwi.

Cóż się okazało? — Opowiadanie, które wziąłem za relację naocznego świadka wypadku, było poprostu pełnym temperamentu raportem gajowego, meldującego o przeniesieniu się przebywającego w tym rewirze niedźwiedzia na drugą stronę granicy. Czyn ten, zważywszy na odbywające się naonczas w Rumunji wielkie polowania, wydał się gajowemu do tego stopnia niewytłomaczalnym, że zakwestjonował sprawność umysłową biednego misia.

Patrząc na to wydarzenie z perspektywy czasu, skłonny jestem przypuścić, iż niedźwiedź był zgłodniały raczej w sensie fizjologicznym, niż duchowym i nietyle przyciągał go urok niebezpieczeństwa, co raczej związany z łowami okres intensywnego dokarmiania.

Wobec zawalenia wiatrołomem dogodniejszej trasy i wynikłej stąd konieczności forsowania uciążliwych wzniesień, postanowiliśmy pofolgować wierzchowcom i resztę drogi odbyć per pedes. Wyprawa czekała w komplecie. Jej skład osobowy powiększył się, przybyło bowiem dwu gajowych: dziewiętnastoletni Jurko i stary, układny wyga Mickaniuk. O ile pierwszy przypadł mi odrazu do gustu, o tyle do myśliwskich kwalifikacji drugiego odniosłem się z rezerwą. Był to zresztą sympatyczny grubasek, zabytek z okresu cesarsko-królewskiego imperium i przesiąknięty całkowicie jego duchem. Podziału naszych „doradców technicznych" dokonaliśmy zgodnie z indywidualnemi upodobaniami. Było zresztą zbyt pięknie, by w rozradowanych sercach mogło się znaleźć miejsce na spory.

Znajdowaliśmy się na połoninach. Kwietniowe słońce nie zdołało jeszcze całkowicie stopić pokrywy śnieżnej, zalegającej dużemi płatami zwłaszcza w miejscach mniej wystawionych na działanie promieni. Wśród tej olśniewającej bieli przedziwnie koją wzrok rozsiane tu i ówdzie kępki krokusów. Jest ich coraz więcej, począwszy od nierozwiniętych jeszcze pączków, z trudem walczących ze skorupą śnieżną, aż do wspaniale rozkwitłych kielichów, nęcących przedziwnie pastelowym kolorem płatków. W ubarwieniu ich przeważa delikatny odcień niebieski, tak że patrząc zdaleka, czuje się człowiek zawieszony między dwoma błękitami, z których niewiadomo jaki jest ziemią, a jaki niebem, tak dalece rywalizują ze sobą czystością barw.

Był to pierwszy i ostatni dzień pogody w czasie mego pobytu w górach.

Osiągnąwszy względnie wcześnie nasze obozowisko, udajemy się tegoż wieczoru na zapady. Wspinamy się o jakieś 150 m. wyżej. Niezwykle strome zbocze jest zdradliwą pułapką na zmęczone mięśnie i nieprzyzwyczajone płuca. Raz po raz noga ześlizguje się z płytkich występów i następuje przykre zderzenie z ziemią. Ciała pod krótkiemi futerkami spływają potem.



Z wiosenną zdobyczą. Fot. por. K. Pereświet-Sołtan.

Wreszcie jesteśmy na szczycie. Niewielka różnica wysokości wystarczała widocznie na osłabienie destrukcyjnej siły promieni słonecznych, gdyż brniemy głęboko w śniegu. Warstwa jego pogłębia się z każdym krokiem zbliżającym nas do ściany lasu. Tam rozdzielamy się. Wśród drzew ciągną się śnieżne zaspy; prześlizgujemy się ostrożnie po ich zamarzniętej powierzchni. W tym roku nie stanęła tu napewno stopa człowieka. W pewnym momencie powłoka nie wytrzymuje ciężaru i zapadam się po piersi w srebrzysty puch. Oddzielone grupki śniegu toczą się z lekkim sykiem po pochyłości. Z przeraźliwą jasnością zdaję sobie wówczas sprawę z trudów bezszelestnego podejścia ostrożnego pieśniarza w niepewnych blaskach przedświtu. Nadomiar konstatuję w rozmowie brak zasadniczych pojęć techniki podskakiwania głuszca u mojego gajowego, a że i moje wiadomości w tej dziedzinie miały naonczas charakter czysto teoretycznej wiedzy, ogarnęły mnie zrozumiałe obawy o rezultat praktycznej próby ich zastosowania.

Tymczasem doszliśmy na miejsce. Teren wydawał się doskonale wybrany. Niskopienny las przerzedzał się tutaj, przechodząc w naturalną, gęsto podszytą polanę, na brzegach której sterczały gdzieniegdzie zeschnięte, skarlałe sosenki. Zapadał zmrok. Przeświecający między czubami drzew błękit dziwnie poszarzał: gnane zachodnim wiatrem obłoki, przykryły niebo matowym, coraz niżej zstępującym welonem. Wkrótce poczułem na twarzy pierwsze muśnięcie ich wilgotnych skrzydeł. Tuż nad drzewami, pod któremi stałem zasłuchany, mignął ze świstem czarny cień, w chwilę zaś później gdzieś z boku doszedł mnie ten sam odgłos. Głuszce zlatywały na tokowisko. Próżno jednak wytężałem słuch, oczekując charakterystycznego odgłosu siadającego głuszca. Niezmąconą ciszę przerwało raz tylko i to na krótko dalekie klapanie zapalczywszego snać trubadura. W zupełnych ciemnościach wycofywaliśmy się ku kolibie. I może pod wpływem mroku zszarzały wypieszczone nadzieje, a w sercu poczęło się lęgnąć zwątpienie.

Dobrotliwa noc przepędziła niewczesne obawy i gdy na dwie godziny przed świtem ponownie forsowaliśmy zbocze, z każdym krokiem zbliżającym do celu wstępowała w nas otucha. Zatrzymaliśmy się w tem samem co poprzednio miejscu. Panowały nieprzeniknione ciemności, zagęszczone jeszcze snującą się wśród drzew mgłą, czy może strzępami chmur. Z trudem mogłem odróżnić sylwetkę przytulonego do drzewa gajowego. Mijają brzemienne oczekiwaniem chwile. I nagle w ciszy uśpionej puszczy rodzi się upragniony dźwięk: tek... tek... tetek... Ale śpiewak nieodrazu rozpoczyna koncert. Kończąc ranną tualetę, próbuje głosu, rzucając w mrok zaledwie po parę taktów. Wreszcie rozbrzmiewa cała pieśń. Równo płynie strofa za strofą, budząc nie dające się opisać wzruszenia. Urok jej jest nierozłącznie związany z dzikiem pięknem otaczającego krajobrazu. Pod tym wpływem suche napozór tony łagodnieją, nabierają treści, łączą się w pełną wyrazu harmonijną strofę, surową, jak surowe bywają ranki przedwiośnia. Mój głuszec roztokował się na dobre. Odstępy między pieśniami stają się coraz krótsze, aż wreszcie nikną zupełnie. Zakazawszy gajowemu ruszać się z miejsca, skaczę w takt głuchej pieśni.



Fretka atakująca jeża. Fot. A. Dobrski.

Wzrok bacznie przegląda konary. Wreszcie w bladym brzasku wstającego dnia spostrzegam charakterystyczną, podaną naprzód sylwetkę, z febrycznie drgającą podczas szlifowania szyją. Siedzi nisko, 2 — 3 metrów nad ziemią, na zeschniętej sosnowej gałęzi. Jeszcze parę susów i kryję się w cieniu grubego pnia, skąd mogę dowoli obserwować. Nie wiem jak długo trwałem przywarty do drzewa w modlitewnej kontemplacji. Zbudziło mnie nagłe przerwanie pieśni. Nie można było dłużej zwlekać, każda sekunda mogła zadecydować o zdobyciu brodatego trubadura.

Wolno podniosły się śmiercionośne lufy. Blado zamajaczyła muszka na tle szmelcowanej zbroi z piór i głuchy huk targnął powietrzem. Głuszec ciężko uderzył w śnieg. Zerwały się potężne skrzydła do ostatniego lotu i opadły, bijąc bezsilnie po bokach. Nim przebrzmiało ostatnie echo wystrzału, olbrzymi ptak zamarł w bezruchu. Jak cień, wyrósł u mego boku Jurko. „Ot i dziękuję"—wyrzekł, zdejmując czapkę na widok trofeum. Komu dziękował, to pozostało jego tajemnicą, ale taka radość biła z tych prostych słów, że starczyła za wszelkie inne dowody uznania.

Jeszcze rozstrząsaliśmy szczegóły, gdy dobiegł nas stłumiony przestrzenią odgłos strzału. Puszcza składała nowy okup człowiekowi. Jak mi później opowiadał kuzyn, układny Mickaniuk inaczej mu winszował zdobyczy. Zbroczywszy złomek świerczyny farbą głuszca, przyklęknął i podał go na czapce szczęśliwemu strzelcowi. Niewątpliwie efekt tego czynu musiał być w tych okolicznościach ogromny, nie wiem jednak czy wypływał z tak szczerych pobudek, jak skromne „ot i dziękuję" Jurka. W chwilę po wzmiankowanym strzale ponownie usłyszałem granie głuszca. Po kilkudziesięciu susach ukazał mi się niezwykły widok. Na niewielkiej polance tokował, kreśląc lotami w śniegu, piękny kogut. Między jedną a drugą zwrotką puszył się, jak indyk, wydając basowe dudnienie. Jeśli wierzyć informacjom gajowych, głuszce karpackie tokują prawie wyłącznie na ziemi. W czterech zaś wypadkach z własnego doświadczenia widziałem 2 koguty grające na drzewie, a 2 na ziemi. Od wyżej opisanego dzieli mnie jakieś 80 kroków i na tę odległość nie chciałem zaryzykować strzału. Dalsze podejście, zważywszy odkryty teren, było niezwykle trudne, mimo to jednak usiłowałem przedostać się pod osłonę zwalonego drzewa, skąd już można było mieć gwarancję strzału. Chociaż skakałem tylko w czasie szlifowania, nie udało mi się ujść bystrookiemu kogutowi. Grzmiącym łopotem skrzydeł obwieścił głuszec odkrycie planów nieprzyjaciela, kładąc kres moim emocjom.

Wracaliśmy smagani uporczywym kapuśniaczkiem, którym oddawna groziły nawisłe chmury. Około południa kapuśniaczek przerodził się w deszcz ze śniegiem. Padało cały dzień, noc i znowu dzień. Nad nami i pod nami kłębiły się beznadziejnie szare zwały, wróżąc długotrwałą niepogodę. Termin zaś wyjazdu zbliżał się nieuchronnie. Trzeciego ranka, korzystając z chwilowego wyczerpania się zapasów dżdżu, wyruszyłem z Jurkiem po raz ostatni na toki. Wyszliśmy późno, nadto złośliwa aura nie zapowiadała powodzenia, ale trzeba było chwytać każdą szansę. Do lasu dobrnęliśmy o świcie; głuszce nie grały. Po bezskutecznej wędrówce zamierzałem już wracać, gdy zelektryzował nas upragniony głos. Jak burza, runąłem w dół stoku. Tok początkowo ledwie dosłyszalny nabierał w miarę zbliżania wyrazistości. Od ukrytego gracza dzieliła mnie jeszcze mała polanka. Przebywam ją szczęśliwie i spostrzegam go na 40 kroków. Niestety, ze względu na olbrzymie zaspy, wręczyłem strzelbę gajowemu i muszę czekać aż się do mnie zbliży. Srodze się na mnie zemścił ten błąd. Chłopak, źle obliczywszy kroki, stanął na środku polanki. To wystarczyło. Odwróciłem się wściekły, ale szczera skrucha, malująca się na obliczu hucuła, rozbroiłaby nawet trwardsze serce, niż moje.

A zresztą czyż każde podejście musi być ukoronowane strzałem?...

W parę godzin później nasza wyprawa zstępowała ku leśniczówce. Tam dokonaliśmy wreszcie pomiaru trofeów. Mój głuszec, młody dwuletni osobnik, w pierwszym roku toku, ważył w 2 dni po zabiciu 3,4 kg, przy gługości 86 cm., mego kuzyna zaś 4,15 kg. przy długości 95 cm. Niechaj te dane będą skromną cegiełką dla badań monografistów tego królewskiego ptaka.

Czekał nas tu zresztą srogi zawód. Zamiast trzech koni, potrzebnych do przewiezienia nas wraz z bagażem, udało się leśniczemu zdobyć tylko jednego. Któryś z nas musiał wobec tego dokonać niezwykłego pieszego wyczynu. Traf padł na mnie.

Spacer ten, który ukończyłem po dziesięciu godzinach bezustannego marszu wśród deszczu, pozostanie mi chyba do końca życia w pamięci.

Nazajutrz, gdy uwożeni samochodem minęliśmy Kosów i ze szczytu pagórka rzuciliśmy pożegnalne wejrzenie na ginącą we mgle oddalenia panoramę Karpat, zza chmur wytrysnęło słońce, by jako ostatni dowód ironji losu, bezustannie towarzyszyć nam, aż do końca podróży.

JÓZEF JASTRZĘBIEC-SZCZEPKOWSKI.

O SZTUCE UKŁADANIA PTAKÓW DRAPIEŻNYCH DO ŁOWÓW

(Ciąg dalszy).

Karmienie przyniesionego z gniazda drapieżnika nie przedstawia naogół większych trudności. Już rano, gdy podamy mu pokarm z ręki, będzie go spożywał bez żadnych ceregieli. Aby jednak z naszego wychowanka otrzymać ptaka o silnej budowie, mocnej kości i mięśniach, a więc pełnowartościowego ptaka łownego, musimy przy karmieniu jego przestrzegać ściśle pewnych przepisów.

Drapieżniki szlachetne upolowaną zdobycz starannie oskubują z piór, a nawet z sierści, poczem dopiero odrywają z ciała ofiary mięso drobnemi kawałeczkami. Oprócz mięsa jedzą one również wnętrzności (odrzucając jedynie koniec jelita), oraz kości. Z tych ostatnich kończyny przełykają przeważnie w całości, żebra zaś i mostek rozrywają na maleńkie kawałeczki. Wszelkie kości o ostrych krawędziach odrzucają. Pokarm początkowo gromadzi się w wolu, skąd dopiero po kilku godzinach przedostaje się do dalszych części przewodu pokarmowego. W czasie jedzenia ptak połyka zwykle pewną ilość piór, sierści, niekiedy zaś pazury i części dzioba swych ofiar. Wszystkie te części pochodzenia rogowego nie są trawione i po kilkunastu godzinach drapieżnik odrzuca je przez dziób nazewnątrz, jako tak zwany zrzut (wypluwka). Zrzut taki ma kształt kulki lub walca. Kolor jego zależy od tworzywa, z którego się składa, powierzchnia pokryta jest śluzem. W zasadzie dopiero po zrobieniu zrzutu ptak drapieżny może po raz drugi jeść, gdyż wówczas jego przewód pokarmowy jest oczyszczony — wolny na przyjęcie świeżego pokarmu.

Młode swoje karmią drapieżniki, podając im początkowo do dzioba kawałeczki pożywienia, gdy jednak pisklęta tyle podrosną, że mogą już dobrze utrzymać się na nogach, stare rzucają im zdobycz w całości na gniazdo, poczem młode pokolei (najpierw najsilniejsze) same ją szarpią.

Pożywienie piskląt ptaków drapieżnych w niewoli — będzie tem lepsze, im bardziej zbliżone do tego, które otrzymują od rodziców na swobodzie. Najodpowiedniejszym pokarmem będzie zatem mięso małych, lub średniej wielkości ptaków, oraz ssaków. W braku dostatecznej ilości takiego pokarmu można dożywiać młode drapieżniki każdem innem mięsem ciepłokrwistych, byle zupełnie świeżem, no i oczywiście niesolonem. Bardzo ważnym składnikiem pożywienia młodych są związki fosforowe i wapienne. Są one im potrzebne do budowy kośćca. Podajemy je naszym wychowankom w postaci kości drobnych zwierząt w całości, lub mączki kostnej (tłuczonych na miazgę kości większych ssaków — nie ptaków, gdyż kości tych ostatnich rozłamują się zwykle na drobne, ostre kawałki, które mogą uszkodzić przewód pokarmowy naszych wychowanków). Ilościowo stanowić powinny kości około 15 — 20% każdorazowo podawanego pokarmu. Jeśli młode nie będą dostawały dostatecznej ilości wapna w pokarmie, to, choć pozornie będą się dobrze rozwijać, później, gdy zaczną już chodzić i trzepotać skrzydłami, kości ich pokrzywią się i w rezultacie wychowamy sobie ptaki dotknięte krzywicą (angielską chorobą), gdyby zaś nawet to nie nastąpiło, to będą one miały w każdym razie bardzo słabe i kruche kości.

Ważnym dodatkiem do pokarmu są wnętrzności zwierząt. Zawierają one, jak wiadomo, rozmaite składniki, odgrywające pewną rolę przy rozwoju młodego organizmu. Najwięcej tych składników znajduje się w wątrobie. Działanie ich zastąpić możemy w pewnym stopniu, dodając młodym do pokarmu nieco tranu.

Niektórzy sokolnicy dodają młodym do pokarmu trochę sierści i piór, a więc produktów, których one w zasadzie nie trawią. W rzeczywistości, na swobodzie — jak świadczą zrzutki — młode pobierają wraz z pokarmem pewną ilość pochodnych rogu, jestem jednak zdania, że wszelkie pióra i włosy nie są im w istocie potrzebne do niczego, a dostają się one do wola jedynie przypadkowo, w czasie jedzenia. Na wszelki przypadek nie zaszkodzi gdy raz na dwa trzy dni, przy wieczornem (ostatniem) karmieniu damy naszym ptakom kilka myszy wraz z sierścią, lub trochę miękkich piór ptasich, zmieszanych z mięsem — oczywiście w ilości dostatecznej do uformowania zrzutu. Jeśli rano nie znajdziemy wypluwki w gnieździe, należy opóźnić trochę pierwsze karmienie — lecz gdy jeszcze po godzinie czy dwu ptak nie zrzuci, nie należy się tem przejmować i dać mu jeść. O ile bowiem stare ptaki odbywają zrzuty bardzo regularnie, o tyle młode często trzymają wypluwkę w wolu po dwa, trzy dni i, jak się zdaje, nic im to nie szkodzi.



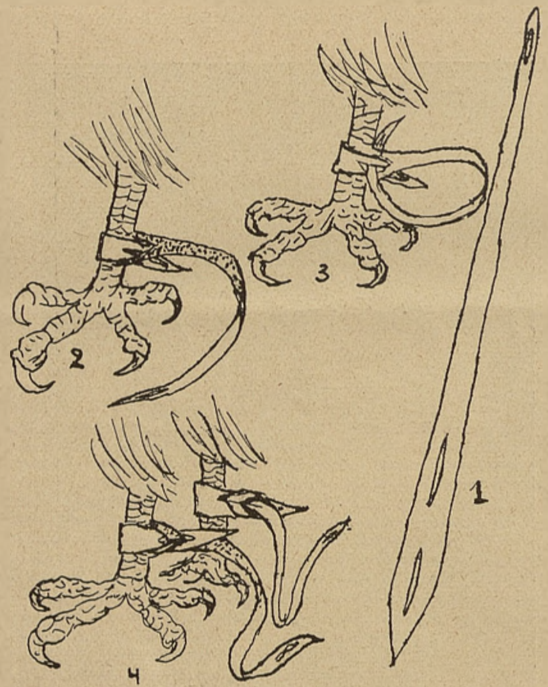
P. M. Olszanowski z młodemi gołębiarzami.

Mięso, którem karmimy ptaki, nie powinno być zimne, nie trzeba jednak specjalnie go ogrzewać w ciepłem mleku lub wodzie, jak to podają niektórzy sokolnicy. Zupełnie wystarczy, jeśli będzie ono miało temperaturę powietrza (latem). Nawet jeśli trzymamy mięso w piwnicy, na lodzie, to zupełnie wystarczy, gdy przed daniem go naszemu drapieżnikowi położymy go na kilka minut w miejscu słonecznem. Pamiętajmy bowiem o tem, że w gnieździe rodzice również nie karmią młodych „ciepłym" pokarmem. Drapieżnik po upolowaniu zdobyczy musi ją przecież najpierw oskubać, potem zanieść do gniazda, wreszcie w gnieździe porozdzielać na małe kawałki — to wszystko zajmuje tyle czasu, że młode jedzą już mięso o temperaturze otoczenia, lub niewiele co wyższej.

W stanie dzikim młode drapieżniki na gnieździe nie piją — wystarcza im zupełnie krew zjadanych zwierząt. Wobec tego jednak, że w warunkach sztucznych młode dostają dużo mięsa wykrwawionego, lub podsuszonego przez przechowywanie, trzeba co-

dziennie podczas jednego z karmień zanurzać kawałki mięsa na chwilę do wody i mokre podawać małemu do dzioba.

Młode drapieżniki należy karmić początkowo 4—5 razy dziennie, gdy podlatują już i podczas oblotu dwa razy dziennie, wreszcie „dorosłe" raz dziennie Karmimy zawsze dosyta — to znaczy do wypełnienia się wola, co łatwo poznać, dotykając ptaka palcem w okolicę podstawy szyi. Ptak najedzony ma wole wypukłe i kuliste, bardzo najedzony wole twarde, wydłużone i lekko spłaszczone. Po godzinie 18—19 nie powinno się już karmić młodych, chyba że pierwsze karmienie ranne odbyło się zbyt późno. Jest jednak rzeczą bardzo ważną, by godzin karmienia przestrzegać bardzo ściśle, co nie ma wprawdzie żadnego znaczenia dla zdrowia ptaka, lecz ułatwia w pewnym stopniu tresurę. Pomiędzy ostatniem wieczornem karmieniem a pierwszem rannem powinno być conajmniej 10 godzin przerwy. Najlepszym wskaźnikiem, jak często należy ptaka karmić, jest stan jego wola — jeśli jest ono już puste, młode powinny być podkarmione.



Rys. 7. 1) Pęto, 2) i 3) sposób zakładania, 4) pęta założone na obie nogi.

Młode początkowo karmimy z ręki, podając im pożywienie szczypczykami lub palcami do dzioba, później, gdy już stają na nogi, należy dawać im pożywienie w całości (ptaki oskubane, mięso w dużym kawałku), aby zmusić je do szarpania i rozwijania sobie dzięki temu muskulatury. Nawet w tym czasie jednak należy codzień dawać im z ręki po kilka małych kawałeczków mięsa — najlepiej gdy podchodzimy do gniazda. Robimy to z tych względów, aby młode witały nasze przybycie z zadowoleniem. Wreszcie podczas oblotu należy znów karmić ptaki wyłącznie z ręki.

Na zakończenie, przypomnę że należy być bardzo ostrożnym przy karmieniu młodych drapieżników zwierzyną, strzelaną śrutem. Ołów jest bardzo groźną trucizną, o działaniu przewlekłem lecz niezawodnem. U młodych ptaków spożycie nawet kilku ziarnek śrutu może wywołać śmiertelne zatrucie i co ciekawsze, że śmierć następuje przeważnie w kilka tygodni po spożyciu ołowiu, zupełnie niespodziewanie. Pozornie zdrowy ptak, już lotny, niekiedy całkowicie ułożony, dostaje nagle skurczów, traci przytomność i po kilku dniach, a nieraz godzinach, w takim ataku umiera. Z tych względów należy starać się strzelać zawsze kulami do ptaków, przeznaczonych na pokarm dla naszego wychowanka, względnie ze strzelanych śrutem wybierać z ich mięsa ziarnka ołowiu do ostatniego.

Poczynając już od pierwszego dnia pobytu ptaka w niewoli, podczas karmienia podajemy stale jednakowy, wyraźny, dalekobrzmiący dźwięk — hasło. Może to być świst gwizdawki, syreny, względnie można gwizdać ustami. Przestrzegać należy jednego tylko, aby przy każdym podawanym kawałku wydawać ten dźwięk i aby zawsze był on jednakowy. Już po kilku dniach zauważymy, że gdy zbliżamy się do gniazda pogwizdując, nasz wychowanek reaguje na to bardzo żywo i z zainteresowaniem patrzy na nasze ręce — co to za smaczny kąsek mu niesiemy. Ten sygnał, który musimy dobrze wpoić w mózg młodego drapieżnika, będzie miał w przyszłości bardzo ważne znaczenie, gdyż będzie służył do wabienia naszego ptaka i przywoływania go na polowaniu gdzieś z pod obłoków (sokoła), lub z wysokiego drzewa (jastrzębia i krogulca) na rękawicę lub berło.

Gdy młody zaczyna już spacerować po gnieździe, staramy się, pokazując mu kawałek mięsa i pogwizdując jednocześnie, aby przyszedł do naszej ręki. Jeśli nie będzie chciał z początku tego zrobić, nie należy go do tego zmuszać, przyciągając go ręką, czy też popychając go. Tą metodą niczego ptaka nie nauczymy, a raczej tylko zniechęcimy do siebie. Należy wówczas pierwszy kawałeczek mięsa przysunąć tak blisko dzioba ptaka, by wystarczyło mu daleko wyciągnąć szyję, aby go dosięgnąć; drugi dajemy nieco dalej, by musiał zrobić jeden krok, aby chwycić pożywienie; następny kawałek (ciągle pogwizdując) podajemy mu jeszcze o kilka centymetrów dalej i t. d. Po kilku dniach dochodzimy do tego, że nasz wychowanek wędruje do nas „kłusem" przez całe gniazdo. Jeśli ptak nie chce do nas podejść, a widzimy, że o tyle dobrze już chodzi, iż może to zrobić bez trudności, wówczas po kilkuminutowem bezskutecznem wabieniu odchodzimy i nie dajemy mu nic jeść, opuszczając jedno karmienie. Po dwu, trzech godzinach powtarzamy lekcję — już wówczas napewno z dobrym skutkiem. W postępowaniu tem mieści się cała filozofja tresury ptaków drapieżnych. Żądać tylko rzeczy możliwych, prostych, tłomaczyć dostępnie, karać głodówką — oczekiwać niewielkich postępów. Nic siłą lub groźbą — jedną chwilą zdenerwowania, lub zniecierpliwienia możemy opóźnić nieraz tresurę o kilka tygodni. Lekcje wabienia powtarzamy nawet i wówczas, gdy młody dostaje całe kawałki do szarpania, tylko oczywiście używamy do tego celu skrawków mięsa, aby nie popsuć mu „apetytu".

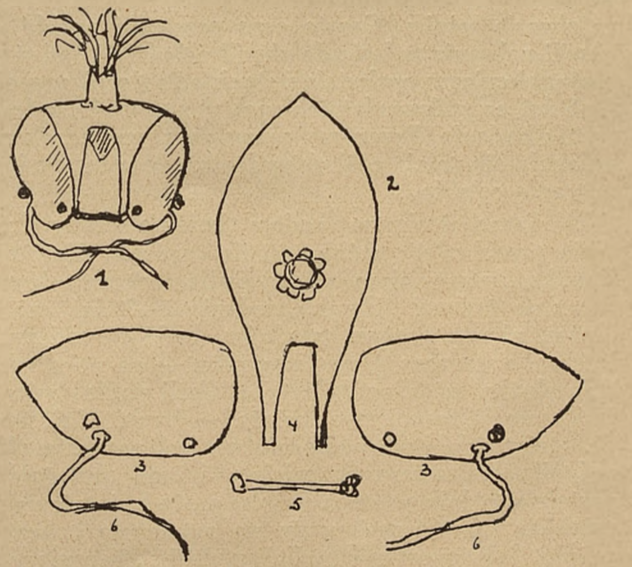
W okresie, gdy nasz wychowanek dostaje do szarpania ptaki w całości, należy przebywać z nim jaknajwięcej, szczególnie wówczas, gdy je. Jeśli zauważymy, że mały puszy się i zakrywa przed nami pożywienie (instynkt obrony zdobytego pokarmu przed rodzeństwem), należy go stopniowo od tego odzwyczaić. Uzyskamy to, głaszcząc *) go łagodnie w trakcie jedzenia, podtrzymując mu ptaka, dopomagając w rozszarpywaniu — wkrótce przekona się on, że z naszej strony nic mu nie grozi i zaprzestanie wrogich demonstracji. Są jednak takie ptaki, które nigdy nie są w stanie pozbyć się tego, tak niemiłego dla hodowcy, przyzwyczajenia.

Gdy drapieżnik nasz jest już tak silny, że potrafi się utrzymać na gałęzi, przystępujemy do „unaszania" go, to znaczy sadzamy, względnie zwabiamy go, by wszedł na rękawicę i odbywamy z nim niewielkie spacery. Od tej chwili conajmniej raz dziennie karmimy go na ręku. Podczas spaceru podajemy mu co pewien czas kawałek mięsa. Nosić trzeba ptaka w sumie około godziny dziennie, oczywiście jeśli dobrze

*) Głaszcze się ptaki tylko po piersi. Samego głaskania ptaki nie lubią i boją go się, prawdopodobnie w obawie o zniszczenie piór. (Przyp. red.).

siedzi na ręku. Jeśli jednak nasz wychowanek lęka się tego zbytnio, gdyż młode drapieżniki, zanim nie nauczą się latać, odczuwają często instyktowny lęk przed przestrzenią, lepiej jest poczekać z noszeniem młodego aż do czasu, gdy zacznie podlatywać. Nie można bezwzględnie sadzać ptaka na gołej ręce, nie dlatego nawet, że może podrapać, lecz z tych względów, że miękka i elastyczna skóra naszej dłoni usuwa się z pod jego palców, nie dając mu dostatecznego oparcia. Rękawica sokolnicza powinna być zrobiona z grubego, miękkiego zamszu, mankiet musi dochodzić prawie do łokcia. Pierwszy, drugi i trzeci palec powinny być swobodne. Najwygodniej jest nosić ptaka na prawej ręce, choć pod tym względem reguły żadnej niema. W braku rękawicy sokolniczej, możemy narazie zastąpić ją zwykłą, dość grubą skórzaną rękawiczką.

Gdy drapieżnik nasz zaczyna już dobrze chodzić, zakładamy mu na nogi specjalne pęta sokolnicze, które będzie on od tej chwili stale nosił. Robi się je z miękkiego surowca o grubości około 1—1,5 mm. i szerokości 10—15 mm. Długość ich powinna wynosić dla ptaka średniej wielkości (jastrząb, sokół) od 20—25 cm. Rzemienie te przycinamy według wzoru przedstawionego na rys. I. W końcu szerszym, który będzie owijał skok ptaka, przecinamy wzdłuż dwa otwory długości 2 — 2,5 cm., oddalone od siebie o 3 cm. (wymiar ten zależy od grubości skoku, najlepiej jest wystrugać odpowiednio gruby kołek i na nim dostosować wielkość otworów i odległość ich od siebie). W cienkim końcu pęta przecinamy trzeci otwór. Zakładamy pęta na nogi ptaka tak, jak to jest przedstawione na rysunku. Muszą one leżeć dość luźno, by nie ocierały skoków ptaka. Jastrzębiom dajemy zwykle tylko jedno pęto na tę nogę, na której ręce się go nosi, w pierwszych miesiącach jednak lepiej jest założyć mu pęta na obie nogi. Sokołom z reguły zakładamy pęta na obie nogi. Pęta służą do trzymania ptaka na rękawicy aby nie mógł z niej zlatywać bez naszej woli, oraz do wiązania na stojaku, na którym będzie w przyszłości przesiadywał.



Rys. II. 1) kaptur uszyty, 2) środkowy płat, 3) płaty boczne, 4) otwór w płacie środkowym na dziob, 5) rzemień idący pod dziobem, 6) rzemienie do przywiązania kapturka z tyłu głowy.

Jeśli chowamy młodego sokoła, to należy go już zawczasu przyzwyczaić do noszenia kapturka. Kaptur musi być dobrze dopasowany do głowy ptaka, lecz pod żadnym pozorem nigdzie jej nie uciskać. Powinien on zupełnie uniemożliwiać możność widzenia. Musi się jednak łatwo zdejmować i nakładać. Robimy go z cienkiemj, miękkiej skórki. Zanim uszyjemy kapturek definitywny, należy najpierw wykrajać według wzoru na rys. II (odpowiednio powiększonego) formy z materjału, dopasować je i dopiero wówczas według nich skrajać i uszyć kapturek ze skóry. Aby przyzwyczaić ptaka do kapturzenia, należy zakładać młodemu kapturek kilka razy dziennie na 15 — 20 m.; po zdjęciu kapturka należy albo dać mu mały kawałek mięsa, względnie jeśli robimy to ćwiczenie przed porą karmienia, co jest najracjonalniejsze, należy go potem nakarmić. Kaptur zakładamy sokołom w tym celu, aby na polowaniu nie zrywały się do daleko przelatujących, lub niełownych ptaków. Zdjęcie kaptura jest dla ułożonego ptaka znakiem do uderzenia na wskazaną mu zdobycz. Ponieważ kaptur przydaje się bardzo podczas przewożenia ptaków, gdy musimy przechodzić przez cudzy teren myśliwski, lub przez wieś, gdzie oczywiście wszędzie spotykamy drób i gołębie, nie zaszkodzi, jeśli do kapturzenia przyzwyczaimy i jastrzębie, choć z temi ostatniemi poluje się z reguły bez kaptura.



Rys. III. Wabidło.

Bardzo ważne jest również przyuczenie młodych do „wabidła". Robimy je w sposób następujący: do cienkiej deseczki (dykty) długości około 10 cm., szerokości około 5 cm., przybijamy wysuszone skrzydła ptaka (rys. III), w końcu przednim przyczepiamy kółeczko do przywiązywania 1—2 m. kawałka sznurka, przy pomocy którego możemy wabidło podrzucać do góry, lub kręcić je nad głową. W środku deseczki wybijamy dwa otwory, przez które przewlekamy kawałek drutu do przywiązywania mięsa. Zresztą sama forma wabidła jest zupełnie obojętna, możemy używać do tego celu nawet starej skarpetki, ważne jest tu jedynie to, żeby wpoić w ptaka przeświadczenie, że na wabidle jest zawsze kawałek mięsa, który można zjeść. Wabidło powinno być dobrze widoczne zdaleka. Przy tresurze jastrzębi lub krogulców nie ma ono tak wielkiego znaczenia, gdyż ptaki te wabimy zwykle zbliska, natomiast sokoła, który często odlatuje daleko, niesposób jest wołać głosem — zatem pokazanie mu wabidła staje się jedynym sposobem sprowadzenia go na rękawicę. W początkach tresury, gdy młode jeszcze nie latają, zaznajomienie ptaka z wabidłem sprowadza się, do podawania mu na niem kawałeczków mięsa — również karmiąc go (gdy już zaczyna dobrze chodzić) z „ręki", podajemy mu mięso nie palcami, lecz na wabidle.

Oto jak musimy postępować i czego trzeba nauczyć naszego wychowanka przez pierwsze 3 tygodnie jego pobytu w niewoli (to znaczy do czasu aż zacznie on latać). Z tą chwilą zaczyna się okres właściwej tresury, oraz oblatanie ptaka.

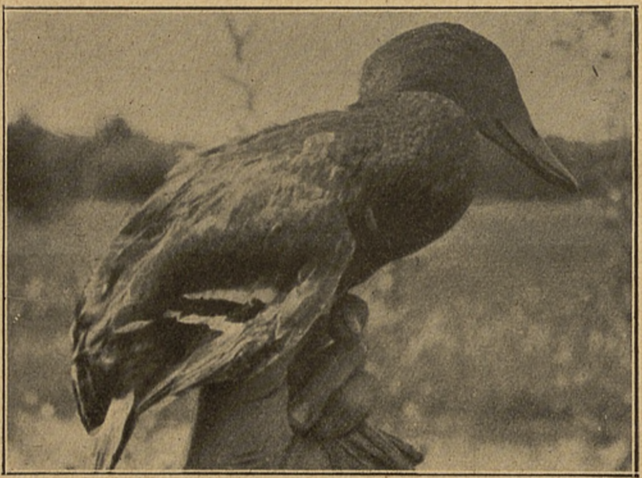
(D. c. n.)

Dr. AUGUST DEHNEL

LABORATORJUM BIOLOGICZNE W BIAŁOWIEŻY

(Dokończenie).

Najbardziej rozwiniętym, rozciągającym się na całość lasów państwowych działem Laboratorjum, którego przedstawienie jest właściwym celem niniejszego referatu, jest Pracownia Rozpoznawcza Bakterjologiczno-Łowiecka. Opieka fachowa, jaką roztacza nad nią p. pułk. Dr. Kazimierz Zagrodzki, Kierownik Wydziału Weterynarji P. I. N. G. W. w Puławach, a zarazem Kierownik ogólnej sieci Państwowych Pracowni Rozpoznawczych w Polsce, gwarantuje właściwy poziom badań bakterjologicznych i zapewnia dalsze rozszerzenie zakresu jej prac fachowych oraz równouprawnienie z Państwowemi Pracowniami Rozpoznawczemi, z objęciem specjalizacji w zakresie chorób zwierzyny łownej. Zasięg badań bakterjologicznych w Pracowni obejmuje również i tereny lasów prywatnych. Badania próbek nadsyłanych z terenów prywatnych przeprowadzane są za opłatą, której wysokość ustalana jest w/g opłat pobieranych w Państwowych Pracowniach Rozpoznawczych.



Nielotna krzyżówka. Fot. M. Borowski.

Pracownia Rozpoznawcza L. P. w Białowieży nie ogranicza się wyłącznie do badań bakterjologicznych. Samo życie rozszerza zakres jej prac. Coraz częstsze przesyłanie przez nadleśnictwa próbek mięsa, znajdowanego podczas rewizji u kłusowników, dla oznaczenia, czy pochodzi ono ze zwierzyny łownej, zmusza Pracownię do rozpoczęcia prób serologicznych na dużą skalę. Rozpoczęto już doświadczenia ze zwierzętami laboratoryjnemi przez szczepienie ich mięsem różnych gatunków zwierząt.

Właściwa praca bakterjologiczna, która stanowi podstawę tego, co moglibyśmy określić mianem „łowieckiej służby zdrowia" — to najszerzej rozbudowana funkcja Pracowni Rozpoznawczej.

Jak się przedstawia ośrodek tej pracy? Otóż obecny lokal Pracowni składa się: 1. z sali badań mikroskopowych, 2. sali sekcyjnej oraz 3. kuchni laboratoryjnej, 4. pokoju muzealnego i 5. gabinetu kierownika. Zaopatrzenie w pomoce naukowe jest dobre, a w miarę zwiększających się rokrocznie potrzeb — stale uzupełniane. Sala badań mikroskopowych zaopatrzona jest w najnowsze przyrządy optyczne, sala sekcyjna — w termostaty, wirówki, narzędzia do sekcji, szkło laboratoryjne, bogaty zapas chemikalji i podręczne instrumentarjum, kuchnia — w autoklaw i suszarki; brak gazu świetlnego wypełniają dwie gazownie eterowe systemu prof. Walentego Dominika.

Na uwagę zasługują tegoroczne uzupełnienia pomieszczeń Pracowni: w bezpośredniem sąsiedztwie Pracowni wzniesiony został specjalny budynek, zawierający salę przeznaczoną do sekcji dużych zwierząt (padłych na terenie puszczy) oraz dwa pomieszczenia: jedno — dla zwierząt laboratoryjnych zdrowych, drugie dla tychże zwierząt szczepionych. Budynek ma podłogi betonowe, łatwo zmywalne, wodę bieżącą, światło, a w sali prosektoryjnej piec do spalania pozostałych po sekcji części zwierząt. Prócz tego zbudowano lodownię, zaopatrującą Pracownię w lecie w lód, konserwujący surowice, wyciągi, pożywki bakteryjne i nadsyłany materjał.

Zwierzęta laboratoryjne: białe myszki, świnki morskie i króliki, mieszczą się w specjalnych, zapewniających im warunki rozmnażania się, klatkach, by w miarę potrzeby służyć do szczepień. Nadmiar zwierząt, szczególnie świnek morskich, idzie na sprzedaż dla innych pracowni rozpoznawczych.

Poza właściwem wyposażeniem ośrodka pracy bakterjologicznej, drugim ważnym momentem, wpływającym decydująco na możliwość i trafność djagnozy, jest możliwie szybkie dostarczenie materjału chorobowego. Jaki w tem mógł być udział Pracowni? Opracowano omawianą wyżej instrukcję, a w roku ubiegłym wprowadzono standaryzowane opakowania możliwie izolujące próbkę padłej zwierzyny od otoczenia — w czasie transportu. Jako wzór, posłużyły skrzyneczki Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych, używane przez powiatowych lekarzy weterynarji. Skrzyneczki Laboratorjum Biologicznego, składają się z drewnianej oprawki, zawierającej w wytoczonych zagłębieniach dwa hermetycznie zamykane szklane słoiczki w płaszczach z blachy cynkowej *). Drewno, jako materjał lekki, niezbyt zwiększa wagę, pozatem chroni słoiczki od zgniecenia i jako zły przewodnik ciepła — od wysokich temperatur. Płaszcz metalowy, w wypadku zgniecenia czy pęknięcia słoiczka, zapobiega wylaniu się płynu do drewnianej skrzyneczki. Te zabezpieczenia były konieczne ze względu na zwiększone tempo procesu gnicia próbek w okresie letnim. Często czas przesyłki próbki od chwili pobrania w lesie do chwili oględzin i badań na stole sekcyjnym, wskutek dużych odległości, wynosił 4—5 dni, co podczas letnich upałów zgóry przesądzało wynik badania. Przez zastosowanie skrzyneczek nie uniknęło się gnicia próbek w drodze, lecz tempo jego znacznie osłabło.

Dla jasności obrazu podam kolejne etapy dróg, jakie przechodzi próbka aż do wydania djagnozy. Rzadko kiedy znajdowane są padłe zwierzęta łowne zaraz po śmierci. Zwykle upłynie 2—3 dni, często dłużej, nim w gęstym młodniku, bądź w podszyciu leśnem, a w szczególnym wypadku — na polu, znajdzie służba leśna padłą sztukę. Jeśli padłe zwierzę jest małe i stosunkowo świeże — bywa odniesione do leśniczówki, bądź nadleśnictwa, jeśli zaś duże, albo nadgniłe — zostaje na miejscu i tego samego lub następnego dnia pobrana próbka może być gotowa do wysłania. Zatrzymajmy się na momencie pobrania próbki. Sekcjonowanie padłej sztuki i pobieranie próbek nie jest obowiązkiem przyjemnym, a przez to i niezbyt chętnie wykonywanym.

Wycinki organów pobierane bywają często bezplanowo: nie z części zmienionych, lecz pierwszych lepszych; brak jest opisów zaobserwowanych na sekcji zmian, często tak radykalnie zmieniających djagnozę; pasożyty płuc, gardzieli, bądź przewodu pokarmowego, giną bezpowrotnie, mimo że stanowią materjał potrzebny i do djagnozy i do zbiorów.

*) Skrzyneczki do przesyłania próbek z padłej zwierzyny są do nabycia w Administracji „Łowca Polskiego" w cenie zł. 2.—

Chore padłe zwierzę po sekcji i po pobraniu materjału winno być bezwzględnie spalone, a miejsce gdzie znaleziono padłą sztukę zdezynfekowane wapnem.

Próbka, pobrana w lesie już do skrzyneczki, przesyłana jest na pocztę, skąd idzie do Białowieży. Często trwa to dzień i dwa dni. Przy letnich upałach robi to swoje: próbka bywa nie do użycia.



Wysiadująca kuropatwa. Fot. St. Choiński

Właściwy tok pracy w Pracowni nie rozpoczyna się w momencie nadejścia próbki. Poprzedzają go prace przygotowawcze. Wstępem do właściwych badań próbki, przesłanej z terenu, jest przygotowanie odpowiednich pożywek bakteryjnych. Jako materjał do tego, służy wyciąg z mięsa wołowego: w zależności od potrzeb, przez dodanie samego peptonu i soli kuchennej otrzymuje się pożywkę płynną t. zw. buljon, bądź przez dodanie peptonu, soli i agaru — pożywkę stałą t. zw. agar. Pożywki te winny posiadać odczyn lekko zasadowy. Dla eliminowania, a częściowo oznaczania rodzajów bakterji służą pożywki t. zw. wybiorcze. Są to pożywki płynne lub stałe z dodatkiem barwików (lakmus, błękit bromotymolowy) oraz cukrów (glukoza, laktoza, sacharoza i t. p.). Wyjałowione w autoklawie, przechowywane są w lodowni, co zapobiega ich wysychaniu.

Próbka z momentem przyjścia z poczty, o ile możności zaraz idzie do badania. Po makroskopowem stwierdzeniu zmian anatomo-patologicznych organów — z poszczególnych ich wycinków, pobrane zapomocą wyjałowionej pipety części tkanek i płynów tkankowych, zostają wysiane na płytki z pożywkami. Jeśli proces gnilny zdążył przeniknąć do środka próbki, badanie staje się bezprzedmiotowe. W dalszym ciągu badania robione są preparaty mazane na szkiełku przedmiotowe i szczepione zwierzęta laboratoryjne, które od tej chwili w specjalnych klatkach poddane zostają ścisłej obserwacji. Części tkanek idą również do badań serologicznych.

Na określenie choroby składają się więc wyniki: 1. hodowlane z wysiewów na płytki, 2. wyniki również hodowlane, lecz wysiewów z padłych (w wyniku szczepienia) zwierząt laboratoryjnych, 3. wyniki badań serologicznych i 4 wyniki mikroskopowania preparatów mazanych. W wypadkach skomplikowanych podejrzane kolonje bakteryjne wysiewane są ponownie na pożywki wybiorcze. Po dokonaniu wysiewu pożywki idą do termostatu, gdzie w optymalnej temperaturze 37,5°C. bakterje rosną przez 24 godziny. Stamtąd kolonje bakteryjne idą do badań mikroskopowych i z preparatów na szkiełkach przedmiotowych, przy użyciu różnych barwików, są oznaczone.

*

Analiza statystyki przesyłanych próbek ilustruje ciekawe dane. A więc ilość nadsyłanych próbek: o ile od kwietnia do grudnia 1935 roku ilość ich wynosiła 30 sztuk, to już w roku 1936 w miesiącach od stycznia do czerwca włącznie wzrosła do 58-miu, zaś w roku 1937 od marca do grudnia — do ilości 96 sztuk. Interesujących danych dostarczają wykazy, gdyż wzrost ilości próbek nadesłanych w tych okresach nie świadczy wyłącznie o większej śmiertelności zwierzyny łownej, lecz może być przypisany również większej troskliwości poszukiwań i zrozumieniu ważności sprawy wśród gospodarczy łowisk.

Smutniejsze refleksje nasuwa statystyka poszczególnych chorób zwierzyny, ustalonych na podstawie wyniku badań: 60% orzeczeń: — „nie stwierdzono choroby zakaźnej" wskazuje na dwie alternatywy: albo próbki pochodziły od zwierząt padłych wskutek urazów mechanicznych, bądź chorób zlokalizowanych w jakimś organie, co nie było uwidocznione w kwestjonarjuszu nadesłanym, albo materjał nadszedł w stanie tak daleko posuniętego procesu gnilnego, że uniemożliwiło to badania.

*

Kończąc artykuł, moje postulaty w stosunku do gospodarzy łowisk sformułowałbym, jak następuje. Chodziłoby: 1. o dokonywanie sekcji padłych zwierząt i opisywanie w kwestjonarjuszu zauważonych zmian przez ludzi do tego uzdolnionych, 2. o jaknajszybszą wysyłkę do Pracowni wycinków organów tych zwierząt i 3. zawiadamianie Pracowni o postępach choroby i ew. rezultatach stosowanych zarządzeń profilaktycznych lub leczniczych.



Czajcze gniazdo. Fot. A. Wiśniewski.

Wyjazdy do ośrodków opanowanych przez choroby zwierzyny łownej tylko w sporadycznych wypadkach są możliwe, a absolutną niemożliwością jest stwierdzenie choroby na podstawie próbek wadliwie pobranych. Podciągnięcie więc poziomu czynności, jakie przypadają w udziale gospodarzom łowisk, w zakresie djagnozowania chorób zwierzyny łownej, jest palącą koniecznością, jeśli chcemy, by „łowiecka służba zdrowia" dawała takie wyniki, których od niej gospodarstwo łowieckie oczekuje.

TOMASZ ŚLÓSARSKI
lek. wet.

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Ś. P. JÓZEF HERCIK

I znów ubył nam człowiek, którego z żalem żegna polskiej łowiectwo.

W dniu 4 lipca r. b. zmarł w Jadowie w wieku lat 65 ś. p. Józef Hercik, Dyrektor lasów dóbr Łochowskich i Jadowskich.

Ubył nam stuprocentowy leśnik, ubył świetny myśliwy - hodowca.

Urodzony na Morawach, mimo obco brzmiącego nazwiska, był szczerym polakiem - patrjotą. Polskę ukochał ponad wszystko i dał tego liczne dowody.

Uzyskawszy w 24 -ym roku życia dyplom leśnika, przez lat 41 pracował w swoim zawodzie. Początkowo przez lat 11 na Morawach, następnie przez lat 16 w Antoninach na Podolu u Józefa hr. Potockiego, wreszcie przez lat 10 w Kongresówce, w Łochowie u Eryka hr. Kurnatowskiego.

Wychował prawdziwie po polsku 7 córek i syna, również leśnika, oficera rezerwy W. P.

Podczas wojny światowej wywieziony, jako poddany austrjacki, z Antonin na Syberję, przesyłany etapem z więzienia do więzienia, wraca niebawem do Antonin, by jako jedyny przedstawiciel administracji wielkich dóbr, które cała administracja opuściła, przetrwać na swym posterunku całą inwazję bolszewicką.

On jeden nie uciekł przed wszystko niszczącą i mordującą hordą, on jeden uważał, że posterunku opuszczać niewolno.

I on też, gdy władze polskie wytyczały na wschodzie swe granice, z całej duszy współpracował z komisjami granicznemi, wiedziony jedną myślą przewodnią, by do Polski wrócił jaknajwiększy szmat ongiś polskiej ziemi.

Przeszedłszy do dóbr Łochowskich, zaprowadził żelazną dyscyplinę wśród służby leśnej, zastępując zdemoralizowanych gajowych wysłużonymi podoficerami, a leśniczych — oficerami rezerwy i robiąc z nich prawdziwych leśników i myśliwych - hodowców.

Puste niegdyś i wymarłe tereny łowieckie ożywił przez podniesienie zwierzostanu, a koroną jego dzieła były dwie bażantarnie w Zawiszynie i na Białym Ługu, gdzie rozkład półtoradniowego polowania w 8 strzelb wynosił około 3.000 sztuk.

Kto polował w lasach łochowskich, a wszak polowało nas wielu, wie doskonale, że tak świetnie zorganizowanych polowań, takiego ładu, takiej dyscypliny nie widywaliśmy nigdzie. Pozornie ostry i surowy, w istocie gołębiego serca, był nadewszystko sprawiedliwy; kochano Go więc powszechnie. Słowo Jego było dla podwładnych ostatecznym wyrokiem, a obietnica dla kontrahentów—najpewniejszym wekslem.

Nie dziw więc, że w tych warunkach wzorowy ład i porządek polowań łochowskich stał się główną atrakcją dla większości myśliwych.

A po polowaniu tradycyjny rozkład, meldunek i otrąbienie zwierza.

Świetnie zgrany zespół gajowych potrafił otrąbić kolejno każdy rodzaj ubitej zwierzyny. Wreszcie finał: „Koniec polowania".

Przyznajmy szczerze, czy wiele mamy łowisk, w których służba leśna umie otrąbić zwierza? A ileż zachowanie tej pięknej tradycji dodaje uroku pięknemu sportowi łowieckiemu. Jakie myśli przechodzą przez mózg myśliwego, oddającego z odkrytą głową hołd zwierzynie?

Tak, ś. p. Józef Hercik kochał las, kochał zwierzynę, kochał tradycje łowieckie.

Czując, że zmożony chorobą z łoża już się nie podźwignie, wielokrotnie nakazywał, by na pogrzebie jego zagrano mu na trąbkach „Koniec polowania". I gdy wykonując Jego ustny testament, w dniu 7 lipca, w momencie opuszczania trumny do grobu, szereg gajowych zagrał na trąbkach myśliwskich „Koniec polowania", z najsuchszych nawet ócz męskich popłynęły łzy... Licznie zgromadzeni przyjaciele, starzy myśliwi zrozumieli, że istotnie złośliwy los upolował grubego zwierza.

Z pośród licznych mówców, przyjaciół Zmarłego, warto zacytować ustępy pięknego przemówienia właściciela dóbr Łochowskich p. Eryka hr. Kurnatowskiego:

„Chowamy tu człowieka, który był leśnikiem w najpełniejszem znaczeniu tego słowa. Na takie miano zasługują nie wszyscy, którzy leśnictwo za zawód swój obrali. Bo ś. p. Józef Hercik był c z ł o w i e k i e m l a s u i tylko lasu. Życie jego całe upłynęło w lesie, nic leśnego nie było mu obce i obojętne. Kochał las całem sercem. Sosny rębne były Mu niejako rówieśnicami, dla młodego lasu miał uczucie starego przyjaciela, a na małe sadzonki patrzył, jakby na swoje wnuki. Kochał przytym ten las rozumnie, rozumiał bowiem, że młodość ma swoje prawa, a starość musi jej miejsca ustąpić. I dlatego bez roztkliwiania się umiał po męsku gospodarować w lesie, dając mu podstawy normalnego rozwoju i racjonalnej gospodarki...

Umiłowanie lasu przez ś. p. Józefa Hercika nie kończyło się na tem. Wszystko, co żyło w lesie, było i w jego sercu. I tu jest wytłomaczenie tego, że był doskonałym myśliwym, nie w tem znaczeniu, że strzelał celnie, ale w tem najgłębszem znaczeniu łowiectwa, polegającem na ukochaniu zwierzyny, na jej ochronie, żywieniu, rozmnażaniu i dawaniu jej warunków życia, które niegdyś dawała sama przyroda, a dziś musi dawać człowiek. Postawienie łowiectwa w tutejszych kniejach i polach na bardzo wysokim poziomie, a przedewszystkiem stworzenie bażantarń i doprowadzenie ich do stanu, jaki rzadko gdzie w Polsce się widzi — oto słowa, które z wdzięcznością pomnę i zapisać należy przy nazwisku Józefa Hercika w księdze dziejów lasów łochowskich.

Dziś żegnają ś. p. Józefa Hercika ludzie tak tłumnie tutaj zgromadzeni, bo był człowiekiem zacnym, dobrym i pozyskującym serca bliźnich. Ale żegna Go również i las, i okrywa się żałobą, bo ubył mu prawdziwy jego opiekun i szczery przyjaciel.

Niech w imieniu tego lasu trąbki myśliwskie zagrają Mu na pożegnanie po raz ostatni tu właśnie, gdzie przerwał swą codzienną wędrówkę. Tu, w Jadowie, na pół drogi między Białym Ługiem a Zawiszynem, pomiędzy dwoma dziełami Jego pracy, pomysłu i wytrwałości.

Niech w poczuciu spełnionego obowiązku ś. p. Józef Hercik śpi w tej mogile w spokoju i niech Mu ta ziemia lekką będzie".

W sercach jednak Swych licznych przyjaciół, ś. p. Józef Hercik żyć będzie nadal, jako świetlana postać.

C z e ś ć j e g o p a m i ę c i !

ST. MOR.

WRAŻENIA Z OSTATNIEJ WYSTAWY PSÓW W WARSZAWIE

14 i 15 maja r. b. po raz trzeci z rzędu brałem udział w wystawie psów w Warszawie. Dało to możność wypowiedzenia się nietylko o jakości reprezentowanego na wystawie materjału, lecz także krytycznego ujęcia rozwoju psiarstwa w Polsce, gdyż w przeciągu tych trzech lat miałem możność przypatrzeć się zbliska pracy i wyciągnąć pewne wnioski.

Odnośnie wystawionego materjału w klasach psów myśliwskich nie mogłem , niestety, zauważyć postępu, w niektórych rasach zaś, jak np. setterów ang. należy stwierdzić nawet znaczny krok w tył. Ilość wystawionych psów tej rasy spadła w tym roku prawie do połowy, obniżyła się również jakość materjału. Ogólną wadą u przedstawicieli tej rasy jest mały wzrost, bardzo zły kościec i brak substancji. Typ setterów angielskich w Polsce dość dobry.

Mały krok naprzód zrobiły w tym roku ilościowo settery irlandzkie. Jednakże oprócz importowanej suki „Golden Glory of Glyncood" p. S. Pleśniowicza, reszta materjału stała na niskim poziomie. I w tej rasie, jak i u setterów angielskich, typ był stosunkowo dostateczny. Anatomiczna budowa pozostawia dużo do życzenia, jak również i maść, w przeważającej większości zbyt jasna.

Jedynie setter gordon „Rajt" p. S. Bułak-Bałachowicza z powodzeniem bronił sławy swej rasy, gdyż był nadzwyczajny w typie, pierwszorzędnej budowy i maści. Pies ten może z powodzeniem znaleźć się na jakiejkolwiek dużej wystawie naszego kontynentu, bez specjalnego ryzyka nawet w silnej konkurencji.

Pointery nie poczyniły również w ciągu ostatniego roku żadnego postępu. Biało-czarny pies „Rhum" p. K. Antoszewskiego pozostał najlepszym przedstawicielem tej rasy w Polsce, tak jak był nim do tego czasu. Do tej pory nie znalazło się na zmianę nic innego, coby można było porównać z tym pięknym i rasowym psem.



Z Wystawy w Warszawie 14—16 maja 1938 r. „Markiza z nad Prosny" — wł. J. Helmersen. Fot. St. Wolski.

O cocker spanielach, jako o rasie w Polsce, jeszcze narazie nic mówić nie można. Cały przedstawiony materjał wykazuje bardzo złe pochodzenie i przyznanie tej rasie nagrody posiada czysto zachęcający charakter. Niema tu należytego i prawidłowego typu, psy nie posiadają swobodnego ruchu, większość zaś posiada odrażającą, płaską stopę. Warunki polowania w Polsce są takie, że cockery w tym kraju nie mają zastosowania w polu. Cocker odgrywa więc rolę psa pokojowego i odpowiednio do tego szybko zatraca cechy swej rasy. Przed kilku laty widziałem na wystawie w Warszawie cockery p. Oyrzanowskiego. Nie były to też takie nadzwyczajne gwiazdy, lecz była w nich widoczna rasa, posiadały prawidłowy typ i dobre chody. W tym roku nie było ani jednego egzemplarza, któryby mógł równać się z psami p. Oyrzanowskiego.



Z Wystawy w Warszawie 14—16 maja 1938 r. „Surprise Jamb" — wł. S. Wyszomirski.

Dwa importowane angielskie springer spaniele z godnością reprezentowały swą rasę. Na specjalną uwagę zasługuje champ. „Rollick of Harting" Ks. Izabelli Radziwiłłowej. To nietylko najlepszy przedstawiciel tej rasy w Polsce, lecz jeden z lepszych psów w Anglji. Angielski springer spaniel w ostatnich czasach szybko rozpowszechnia się po całym świecie i jestem przekonany, że niedaleki jest czas, kiedy w Polsce myśliwi bliżej zapoznają się z tą rasą i ocenią ją według zasług. Będąc sam zajadłym zwolennikiem i hodowcą pointerów, nie mogę obejść się bez springera, gdyż pointer może być pożyteczny w polowaniu tylko przez półtora miesiąca w roku, natomiast springer jest moim niezastąpionym pomocnikiem przez cały rok, okazując ogromne usługi na polowaniu na wszystkie gatunki zwierzyny — od jelenia do bekasa włącznie.

Niemieckie krótkowłose wyżły zwiększyły się ilościowo znacznie. Średnia jakość ich nie jest zła. Dwa z nich, które otrzymały pierwsze miejsce w tej rasie, są bardzo prawidłowo zbudowane, są jednak nieco za grube. Więcej elegackiemi były psy hodowli p. Abramowicza. Niestety posiadały one łukowate grzbiety i jasne oczy. Na ostatnią wadę specjalnie zwracam uwagę, ponieważ wszystkie rasy myśliwskich psów, jak angielskich tak i kontynentalnych, powinny mieć oko ciemne o miękkich tonach. Jasno, ostro zabarwione oko, wskazuje na typ postronnej — niemyśliwskiej rasy.

Przy okazji pozwolę sobie wypowiedzieć ogólne wrażenie, jakie odniosłem z wystawy psów w Polsce za ostatnie trzechlecie.

Ogólne wrażenie pozostaje bardzo dodatnie, w organizacji wystaw jednak nie widzę postępu. Jedyny krok naprzód — to wprowadzenie w tym roku książek sędziowskich, co bardzo ułatwia pracę sędziom. Odnośnie katalogu, to możnaby go zbliżyć do normy przyjętej w krajach, gdzie wystawy urządzane są oddawna. Warszawski katalog mógłby być w objętości o połowę cieńszy, natomiast mógłby być więcej praktyczny. Główną jego wadą jest niezbyt jasne wyszczególnienie w jakich klasach każdy pies bierze udział. Sam zaś podział na klasy jest nieco prymitywny. Byłoby prawidłowiej, gdyby klasy nie były numerowane w każdej rasie od pierwszej do szóstej, natomiast gdyby numeracja psów biegła przez cały katalog od Nr. 1 do końca, w zależności od ogólnej ilości klas na

wystawie, przyczem podział na klasy powinienby wyszczególnić w katalogach każdą rasę oddzielnie, a nawet każdą płeć. Psy w katalogach zasadniczo uszeregu je się nietylko według ras, lecz i według płci. W katalogu przed wyszczególnieniem rasy psów i przed każdą klasą wyszczególnia się normalnie wszystkie nagrody honorowe i specjalne, przeznaczone dla danej rasy. Takie samo wyszczególnienie umieszcza się w książce sędziowskiej, przez co ułatwia się pracę sekretarza ringu. Żałowałem p. Wattsona, biegającego przez dwa dni po wystawie z katalogiem w ręku i rozdzielającego nagrody honorowe. Przy zastosowaniu tej drobnostki przyznanie nagród nie zabierałoby wiele czasu, lecz automatycznie byłoby uwzględnione przez sędziów podczas sądzenia.



Z Wystawy w Warszawie 14—16 maja 1938 r. „Beskid Fatra"— wł I. Metelska.

Nie byłoby od rzeczy przejrzeć niektóre przepisy premjowania, w których brak logiki. Naprzykład na ostatniej wystawie nie można było przysądzić springer spanielowi champ. „Rollick of Harting" zaświadczenia na championat dlatego tylko, że nie było w tej rasie minimum sześciu konkurentów. Przypuszczam, że przepis ten znalazł się jedynie wskutek nieprawidłowego tłomaczenia na język polski przepisów obowiązujących kynologiczne organizacje, wchodzące w skład Międzynarodowej Federacji Kynologicznej. Z tych przepisów wynika, że w zaświadczeniach na championat, wydawanych na wystawach, powinno być uwidocznione, czy było więcej, czy mniej niż sześciu konkurentów. Celem otrzymania tytułu championa konieczne jest, aby pies otrzymał conajmniej dwa zaświadczenia na championat, o ile w konkurencji uczęszczało niemniej, niż sześć psów, względnie trzy zaświadczenia, o ile uczęszczało mniej niż sześciu konkurentów. Przy takim stanie, jak istnieje obecnie w Polsce, duża ilość najlepszych psów nigdy nie będzie w stanie uzyskać tytułu championa, gdyż nawet w bardzo rozpowszechnionych rasach, często niema sześciu konkurentów na jednej wystawie.

Również nie szkodziłoby zastanowić się nad postanowieniem, mówiącem, że o ile w klasie suk lub psów zgłoszono mniej niż dwa zapisy, to psy i suki osądzone są razem. Takie połączenie miałoby jeszcze jakikolwiek sens, o ileby na wystawie w każdej klasie wydawane były właścicielowi pierwszych trzech psów pieniężne nagrody.

Uroczyste rozdanie honorowych i specjalnych nagród na drugi dzień wystawy jest bardzo interesujące dla publiczności, o ile na to pozwala czas, lecz jeszcze ciekawsze i korzystniejsze dla sprawy psiarstwa byłoby, gdyby komitet wystawy wydawał honorowe nagrody jedynie wyróżniającym się egzemplarzom, pod hasłem np. „najlepszemu psu myśliwskiemu", „najlepszemu terrierowi", „najlepszemu psu do stróżowania lub obrony" i t. d. Najbardziej wartościową nagrodę zaś — „najlepszemu psu wystawy". Taka inowacja, przyjęta we wszystkich krajach, bardzo zaciekawia publiczność, gdyż widzi ona na ringu najlepszych przedstawicieli każdej rasy. Posiada to również i wychowawcze znaczenie tak dla publiczności, jak i dla wystawców.

Ogólnie wyniosłem z wystawy dobre wrażenie i myślę, że sprawy hodowli psów rasowych wogóle, a wystawy w szczególności, idą w Polsce w kierunku rozwoju *).

W. MARR.

XIII Narodowe Zawody Strzelectwa Myśliwskiego

W dniach 8 do 10 lipca r. b. odbyły się na strzelnicach szczęśliwickich P. Z. Ł. XIII Narodowe zawody strzelectwa myśliwskiego w konkurencjach: śrutowej w strzelaniu do rzutków (łącznie 300 sztuk) i kulowej — do przebiegających jelenia, dzika i dwóch dzików z dubleta. Zawodników powitał na standzie Dyr. Janusz Regulski, przewodniczący Komisji Głównej Strzelectwa Myśliwskiego P. Z. Ł., podkreślając znacznie wyższą frekwencję startujących, niż lat ubiegłych, i oznajmiając, że poza 9-ma zawodnikami, zaliczonymi do elity, dla pozostałych są ustanowione dodatkowe trzy nagrody handicapowe z wyrównaniem.

Przedewszystkiem liczby zawodników, startujących do konkurencji w strzelaniu do rzutków o mistrzostwo m. st. Warszawy (26-ciu) o mistrzostwo Mazowsza (24-ch) i o mistrzostwo Polski (22-ch) dowiodły, że od lat ubiegłych liczby te znacznie wzrosły. Z tego wynika, że sport standowo - rzutkowy bezsprzecznie popularyzuje się coraz szerzej, że zajmuje się nim w całym kraju coraz więcej strzelców, liczonych dziś na setki, czego zresztą dowiodły już tegoroczne IV-te zawody Pionek o frekwencji 121 zawodników. Jeszcze więcej miarodajna w tym kierunku jest frekwencja na Narodowych zawodach, która wzrosła od roku ubiegłego prawie dwukrotnie.

Niezmiernie ważne i pocieszające jest również to, że obok „starej gwardji" doświadczonych, rutynowanych zawodników, obok naszej elity mistrzowskiej, widzimy już młode siły, talenty pierwszorzędne, którym, niezależnie od wieku i przestrzelanych na treningach dni, udało się wejść do tej elity, w jej szeregi — wynikiem ponad 85% trafnych. Takich strzelców widzieliśmy na ostatnich zawodach trzech (na zawodach Pionek o jednego więcej): pp. Jerzego Feilla (prawie 89%), Tadeusza Barańskiego (prawie 87%) i por. Wojciecha Kołaczkowskiego (prawie 86%). Przy 300 rzutkach w ciągu trzech dni jest to już bardzo poważny sukces.

Przypatrzmy się wynikom poszczególnych zawodników na pierwszych (nagrodzonych) miejscach.

W DNIU 8 LIPCA 1938 R. O MISTRZOSTWO WARSZAWY.

I miejsce — p. Ziegenhirte Wilhelm — 96/100, zdobywając nagrodę „Patrii"—paterę kryształową i medal złoty.

II miejsce — p. Koschembahr-Łyskowski Konstanty — 93/100 w rozgr., zdobywając nagrodę: „Kuropatwa" — przycisk w bronzie i medal srebrny.

III miejsce — p. Kiszkurno Józef — 93/100 w rozgr., zdobywając nagrodę f. „Pocisk" — 200 nabojów i medal bronzowy.

IV miejsce — p. Czerski Stanisław—90/100—medal bronzowy.

V miejsce — p. Kitzman Karol — 88/100 w rozgr. — medal bronzowy.

VI miejsce — p. Tobola Kazimierz — 88/100 w rozgr. — medal bronzowy.

*) Ocenę sędziowską psów myśliwskich podamy w następnym numerze Łowca Polskiego (Przyp. red.).

W DNIU 9 LIPCA 1938 R. O MISTRZOSTWO MAZOWSZA.

I miejsce — p. Ziegenhirte Wilhelm — 188/200, zdobywając nagrodę P. W. P. „Pionki" — puhar bronzowy i medal złoty.
II miejsce — p. Łyskowski Konstanty — 187/200, zdobywając nagrodę Warsz. Woj. Rady Łow. — przybór biurkowy i medal srebrny.
III miejsce — p. Kiszkurno Józef — 186/200, zdobywając nagrodę f. „Pocisk" — 300 nabojów i medal bronzowy.
IV miejsce — p. Kitzman Karol — 183/200 — medal bronzowy.
V miejsce — p. Rosenwerth Stanisław — 180/200 — medal bronzowy.
VI miejsce — p. Feill Jerzy — 177/200 w rozgr. — medal bronzowy.

W DNIU 10 LIPCA 1938 R. O MISTRZOSTWO POLSKI.

I miejsce — p. Ziegenhirte Wilhelm — 283/300, zdobywając nagrodę Pol. Zw. Łow. — puhar i plakietę złotą.
II miejsce — p. Łyskowski Konstanty — 282/300, zdobywając nagrodę Warsz. Sp. Myśl. — puhar i medal złoty.
III miejsce — p. Kiszkurno Józef — 280/300, zdobywając nagrodę papierośnicę srebrną i medal złoty.
IV miejsce — p. Rosenwerth Stanisław — 273/300 w rozgr., zdobywając nagrodę p. Klępińskiego — przycisk „róże" i medal srebrny.
V miejsce — p. Kitzman Karol — 273/300 w rozgr., zdobywając nagrodę f. „Pocisk" — 300 nabojów, manierkę i medal srebrny.
VI miejsce — p. Czerski Stanisław — 268/300, zdobywając nagrodę f. „Pocisk"—200 nabojów i medal bronzowy.
VII miejsce — p. Jeziorowski Witold — 267/300 — medal bronzowy.
VIII miejsce — p. Feill Jerzy — 266/300 — medal bronzowy.
IX miejsce — p. Barański Tadeusz — 260/300 — medal bronzowy.
X miejsce — p. Obutelewicz Tadeusz — 259/300 — medal bronzowy.
XI miejsce — p. Kołaczkowski Wojciech — 257/300 — medal bronzowy.
XII miejsce — p. Sztukowski Stefan — 255/300 — medal bronzowy.

NAGRODY SPECJALNE.

HANDICAP (ZA WYNIK Z 3-ch DNI)

I miejsce — p. Zieleniewski Karol, zdobywając nagrodę — przycisk „2 lisy".
II miejsce — p. Makomaski Antoni, zdobywając nagrodę — „zając".
III miejsce — p. Pakowski Tadeusz, zdobywając nagrodę — popielniczkę „lis"

ZA NAJLEPSZY WYNIK Z 3-go DNIA STRZELANIA DO RZUTKÓW.

I miejsce — p. Koschembahr-Łyskowski Konstanty — 95/100 w rozgr., zdobywając nagrodę p. Prezesa Janusza Regulskiego „zegarek na biurko".

Widzimy, że w granicach 85 do 94% zakończyło strzelanie 12-tu zawodników, podczas gdy w roku ubiegłym tylko pięciu! A zatem niewątpliwie zawodnicy nasi naogół swą klasę poprawili. Jednym powiodło się znacznie lepiej, innym gorzej, niż w roku ubiegłym, wszelako ogólny wynik jest bezsprzecznie na wyższym poziomie. Tu należy poruszyć bardzo ważny szczegół techniczny, że na zawodach Pionek, jak również na treningach przed Narodowemi zawodami, maszyny wysyłające rzutki były nastawione równomiernie co do szybkości rzutu i kierunków wszystkich trzech maszyn w poszczególnych gniazdach przed stanowiskami. Na Narodowe zawody zarządzono zmianę, zwalniając szybkość jednej maszyny w każdem gnieździe, a więc razem pięć maszyn rzucało talerzyki inaczej, niż pozostałe dziesięć. Było to umyślnem utrudnieniem — przed uczestnictwem naszej ekipy w Międzynarodowych zawodach — opartem na zeszłorocznem doświadczeniu w Helsinkach, gdzie „nieznane" naszym zawodnikom wolne rzutki spowodowały obniżenie ogólnych wyników ekipy.

Przyjrzymy się teraz porównawczo wynikom poszczególnych zawodników z r. 1937 i 1938.

Imię i nazwisko	Procentowość		Zajęte miejsce	
	1937	1938	1937	1938
Wilhelm Ziegenhirte .	93%	ponad 94%	II	I
Konstanty Łyskowski .	nie uczestn.	94%	—	II
Józef Kiszkurno . .	ponad 92%	ponad 93%	III	III
Stanisław Rosenwerth.	ponad 95%	91%	I	IV
Karol Kitzman . . .	82%	91%	VII	V
Stanisław Czerski, sen.	ponad 83%	ponad 89%	VI	VI
Witold Jeziorowski .	ponad 86%	89%	V	VII
Tadeusz Obutelewicz .	81%	ponad 86%	VIII	X
Stefan Sztukowski .	90%	85%	IV	XII

To dotyczy tylko naszej tegorocznej elity (85% i wyżej), do której weszli jeszcze trzej nowi strzelcy, wymienieni wyżej, pp. Feill, Barański i Kołaczkowski mianowicie na miejsca VIII, IX i XI.



Mistrz m. st. Warszawy, Mazowsza i Polski p. Wilhelm Ziegenhirte (na prawo) i Wicemistrz w tych konkurencjach, p. Konstanty Koschembahr-Łyskowski (na lewo).

Pomiędzy trzema pierwszemi miejscami rozgrywała się w bieżącym roku bardzo ostra, emocjonująca walka przez wszystkie trzy dni zawodów, zwłaszcza niektóre momenty obserwowało się z zapartym oddechem. Do samego końca ostatniej serji niepodobna było snuć żadnych horoskopów i wszyscy trzej zawodnicy mieli ciągle jednakowe szanse. Od jednego pudła więcej p. Ziegenhirtego, lub od jednego pudła mniej p. Łyskowskiego zależała rozgrywka o mistrzostwo Polski. Szczęście dopisało p. Ziegenhirtemu bez tej rozgrywki. Jest to zawodnik opanowany, pełen rutyny, a co najważniejsze ambicji i wiary w swoje siły. P. Łyskowski sam się przyznaje, że nerwy mu przeszkadzają bardzo, zresztą jest to do pewnego stopnia widoczne, ale to zawodnik niepospolitego talentu i umiejętności, przy lepszym nastroju psychicznym groźny dla wielu asów świata. P. Kiszkurno jest zawodnikiem pierwszej klasy. Znamy jego wyniki od wielu lat i jego wspaniałe sukcesy. Innym zawodnikom zazwyczaj trudno było przysunąć się do tego prawie zawsze prowadzącego o większą ilość rzutków strzelca. Od dwóch lat szczęście mu nie dopisuje, a podrażniona ambicja musi utrudniać opanowanie nerwów. Bo jakże sobie tłomaczyć serje Kiszkurny 16/20 (w dniu 8 lipca) i nawet 15/20 (w dniu 9 lipca)?... Tego Kiszkurno nie miał nigdy. A obok tego szereg serji w różnych dniach po 19/20 i 20/20. Nietrudno sobie wyobrazić, jakby przegrupowały się osiągnięte wyniki, gdyby te serje 16/20 i 15/20 były serjami choćby tylko normalnie usprawiedliwionemi po 18/20. Pięć rzutków więcej, to pierwsze miejsce z nadwyżką dwóch rzutków. Nie wierzę w to, żeby p. Kiszkurno załamał się na stałe. To też gdy o dalsze współzawodnictwo z nim chodzi, pp. Ziegenhirte i Łyskowski muszą nie ustawać w pracy i „doskonaleniu się psychicznem". Reszty wówczas dokona szczęście.

Niezmiernie miło było z tem wszystkiem patrzeć, jak obok zawiedzonych nadziei jednych i tryumfów drugich, wszyscy ci trzej zawodnicy, stanowiący dziś bezsprzecznie super - elitę polskich zawodników standowo-rzutkowych, okazywali publicznie wysoką

klasę moralną zawodników sportowych, winszując sobie wzajemnie odniesionych zwycięstw.

W tem miejscu bowiem należy również przypomnieć rozgrywkę pp. Ziegenhirtego i Łyskowskiego o nagrodę dnia (trzeciego) za największą ilość trafionych rzutków. Rozgrywali ją, mając obaj 95/100, a mógł być w rozgrywce także i p. Kiszkurno, gdyby miał o jedno pudło mniej. P. Zigenhirte tę rozgrywkę przegrał, ale widać było, że jest z tego wyniku głęboko zadowolony, choć stając do niej — chciał napewno wygrać.

Pan bar. Rosenwerth jest najstarszym zawodnikiem standowym, dowiódł nieraz swej wybornej umiejętności, opanowania i rutyny. W roku bieżącym, w porównaniu z r. 1937, spadł o 4%, ale to niczego więcej nie dowodzi, jak tylko chwilowej niedyspozycji psychicznej. P. bar. Rosenwerth jest bezwątpienia i nadal tą jedną z podstawowych komórek naszej superelity.

P. Karol Kitzman wykazał niebylejakie postępy! Popchnąć się w tak trudnych warunkach o całą klasę wyżej i wjechać już na 91% — to wynik znakomity. Okazuje się, że p. Kitzman ma duży talent, wiele ambicji i wytrwałości w pracy, a to go doprowadziło do doskonałych rezultatów.

P. Stanisław Czerski—stary to zawodnik, niezmiernie równy, opanowany i wytrwały. Obecnie trzyma się około 90%, a było w ostatnich latach gorzej. Cała tajemnica w tem, że p. Czerski, nie zmieniając systemu strzelania, posiadając niespożyte zapasy sił i wielką rutynę... zmienił broń. Czasem to jednak wiele znaczy!

P. Witold Jeziorowski znać, że ostatnio wiele odbył treningów. 89% na ostatnich zawodach, to wynik piękny.

P. Tadeusz Obutelewicz już zaczął strzelać znacznie lepiej; na zawodach Pionek miał wynik 95/100 i II miejsce, na ostatnich zawodach jednak strzelał znów gorzej — był niedysponowany fizycznie, po kilkodniowej chorobie.

Ale co się stało P. mjr. Stefanowi Sztukowskiemu? Granica 90% zawsze były tą przeciętną jego strzelania. I raptem 5% mniej, a przeciez... humor mu dopisywał, jak zawsze, więc należy sądzić, że psychicznie czuł się dobrze. Hm... a czy właśnie nie zamało skupienia, Panie Majorze?

Wśród elity nie widzimy pp. Kazimierza Toboli i Kazimierza Zaleskiego. Pierwszy w pierwszym dniu utrzymuje się na VI miejscu z wynikiem 88/100, ale następnie spada poniżej 85%. Kpt. Zaleski również jakoś wyszedł ze swej klasy śrutowej, natomiast w kuli zostaje mistrzem Polski na r. 1938. Poprostu rzutków zamało miał w treningach. Z młodszych nie strzelał p. Bląk, który na zawodach Pionek miał wynik 85/100.

Z tem wszystkiem Komisja Główna Strzelectwa Myśliwskiego P. Z. Ł. będzie w niemałym kłopocie z wyborem zawodników do ekipy na międzynarodowe zawody w Czechosłowacji. Cała rzecz znacznie się upraszcza przez to, że z 6-ciu zawodników, jako rezultat ekipy, obliczane są wyniki czterech najlepszych. Jeśli możnaby tu coś doradzać, to jedynie, żeby ekipa nasza na obcym standzie miała swego kierownika i opiekuna — nie z pośród strzelających zawodników. Ten ważny warunek bywał u nas lekceważony i to trzeba koniecznie zmienić.

*

Konkurencje kulowe, w przeciwieństwie do rzutkowych, nie dały pożądanego efektu. Wogóle znać było pewne nieprzygotowanie, a nawet improwizację, jak to słusznie podkreślił w swem przemówieniu przed rozdaniem nagród, Pan Prezes J. Regulski.

Zawodników stawało tylko 12-tu. Należy życzyć sobie, aby na przyszłość zawodników kulowych znalazło się na tych zawodach znacznie więcej, co wobec zamiłowań naszych myśliwych, wśród których bardzo wielu jest doskonałych strzelców, jest bezwarunkowo do osiągnięcia. A może to trzeba trochę więcej propagandy, a także poważniejszej zachęty, jeśli chodzi o przeznaczane nagrody?

Wyniki wypadły, jak następuje:

KONKURENCJA MK. 1. „JELEŃ".

I miejsce — p. Jaźwiński Tadeusz — 95/125, zdobywając nagrodę f. „Fraget"—puhar srebrny i medal złoty.
II miejsce — p. Zaleski Kazimierz — 89/125, zdobywając nagrodę — przycisk z jeleniem i medal srebrny.
III miejsce — p. Lewiński Stanisław — 88/125, zdobywając nagrodę firmy „Boryszew" — 15 pudełek prochu „Szarak" i medal bronzowy.

KONKURENCJA MK. 2. „DWA DZIKI".

I miejsce — p. Zaleski Kazimierz — 158/250, zdobywając nagrodę Prezesa B. G. K., Romana Góreckiego — paterę kryształową i medal złoty.
II miejsce — p. Barański Tadeusz — 149/250, zdobywając nagrodę Kom. Gł. Strzel. Myśl. — puharek bronzowy i medal srebrny.
III miejsce — p. Wąsowicz Zdzisław — 146/250, zdobywając nagrodę firmy „Boryszew" — 20 pudełek prochu „Łoś" i medal bronzowy.

KONKURENCJA MK. 3. „DZIK".

I miejsce — p. Zaleski Kazimierz — 91/125, zdobywając nagrodę „Łowca Polskiego" — szkatułkę bronzową i medal złoty.
II miejsce — p. Barański Tadeusz — 85/125, zdobywając nagrodę — zegarek srebrny na rękę i medal srebrny.
III miejsce — p. Szydłowski Sławosz — 80/125, zdobywając nagrodę f. „Boryszew" — 15 pudełek prochu „Szarak" i medal bronzowy.

MISTRZOSTWO OGÓLNE W STRZELANIU KULĄ

I miejsce — p. Zaleski Kazimierz, zdobywając nagrodę Dyr. P. U. W. F. i P. W. przycisk bronzowy „niedźwiedź", plakietę złotą.
II miejsce — p. Barański Tadeusz, zdobywając nagrodę firmy „Lignoza" — teczkę skórzaną i medal złoty.
III miejsce — p. Wąsowicz Zdzisław, zdob. medal srebrny.
IV miejsce — p. Jaźwiński Tadeusz, zdob. medal bronzowy.
V miejsce — p. Lewiński Stanisław, zdob. medal bronzowy.
VI miejsce — p. Barański Eustachy, zdob. medal bronzowy.

*

Organizacja zawodów stała na wysokości zadania. Kierownictwo zawodów spoczywało w rękach p. Kazimierza Kamieńskiego. Komisję Sędziów tworzyli prócz tego pp. Bieguszewski i R. Klawe. Kancelarję prowadził sekretarz Komisji Gł. p. Nałęcz.

Po ukończonych zawodach w dniu 10 lipca o godz. 20.30 odbyło się w lokalu Polskiego Towarzystwa Łowieckiego wręczenie nagród zawodnikom. Wręczenia nagród dokonał Pan Prezes Janusz Regulski, przemawiając przedtem do zawodników. P. J. Regulski podkreślił zaszczytne wyniki tegoroczne w rzutkach i porównał je z wynikami 1937 r., stwierdzając, że w granicach elity ponad 85% trafnych w zawodach 1937 r. utrzymało się tylko 5-ciu zawodników (na 13-tu), powyżej 75% miało dalszych 4-ch. W roku bieżącym ponad 85% trafnych zaznaczyło się 12-tu zawodników (na 22-ch) ponad 75% — 7-miu i powyżej 70% 2-ch. Następnie Pan Prezes Regulski podziękował zawodnikom, Kierownikowi zawodów i Sędziom, i wyraził nadzieję, że następne Narodowe zawody wykażą, zwłaszcza w kuli, lepsze rezultaty i znaczniejszą frekwencję zawodników.

Po rozdaniu nagród odbyła się wspólna wieczerza, podczas której omawiano dalej przeżyte wrażenia i wzniesiono szereg toastów.

*

Poza sprawozdaniem z samych zawodów i pewnemi nasuwającemi się na tem tle spostrzeżeniami na przyszłość, uważam za potrzebne poruszenie jednej sprawy — mianowicie honorowych nagród w przedmiotach. Mojem zdaniem, na imprezę tego rodzaju, jak doroczne Narodowe zawody, poprostu zamało jest ofiarodawców i samych nagród. A przedewszystkiem brak nagród od oficjalnych przedstawicieli armji, a przecież te zawody są współczynnikiem przygotowania do obronności kraju. Odnoszę wrażenie, że gdyby organizatorzy zawczasu tę kwestję wysunęli gdzie należy, stół nagród przedstawiałby się znacznie okazalej.

Tymczasem przedmioty zdobywają pierwszego i drugiego dnia tylko trzy pierwsze miejsca, a trzeciego dnia tylko sześć. Reszta (jeszcze dwa razy po trzy i jeszcze sześć) to medale, które przecież lepiejby prezentowały się w parze z jakąś nagrodą w przedmiocie.

Wreszcie pozwolę sobie powiedzieć, że niektóre nagrody, zwłaszcza, nagrody w oficjalnych sprawozdaniach bezimienne, były poprostu optycznie zbyt... skromne. Tu coś jednak było nie w porządku, co jednak można z pewnością w przyszłości poprawić.

WŁADYSŁAW ZABIEŁŁO.



W końcu czerwca r. b. firma wydawnicza Paul Parey w Berlinie (Hedemannstrasse 28/29) wypuściła na rynek księgarski wiele książek z dziedziny gospodarczej, rolniczej, ogrodniczej itp., a między niemi bardzo ciekawą pracę d-ra Friedricha Kröning'a, profesora doświadczalni hodowli zwierząt Towarzystwa Badawczego przy Zoologicznym Instytucie Uniwersytetu w Göttingen, z dziedziny biologicznej p. t.: *„Erbkunde für den Waidmann"*. Jest to niewielkie dziełko, poruszające zagadnienie dziedzicznego przechodzenia rasowych cech, znamion i właściwości z rodziców na dzieci zwierząt. Tekst broszury ilustrowany jest 35-ma fotografjami i odręcznemi szkicami, wykonanemi przez samego autora na podstawie doświadczeń i porównań badanych zwierząt. Cena broszury Rm. 3.80. Od tej ceny na podstawie układu handlowego z Niemcami, czytelnicy mogą uzyskać 25% ustępstwa.

Łowczy państwowy Rzeszy wydał rozporządzenie dla niemieckich myśliwych, polegające na planowym odstrzale sztuk chorych i dziedzicznie źle rozwiniętych, które powodują schorzenia i zwyrodnienia zwierzostanów, oraz zalecił zachować ścisłą ochronę nad zwierzyną zdrową w celu podniesienia zdrowotności poszczególnych gatunków zwierzyny łownej i stworzenia podstawy dla racjonalnej rozmnoży. Jest to zadanie bardzo poważne, które oczywiście może być tylko wówczas przeprowadzone należycie, gdy zainteresowani myśliwi będą dobrze obznajmieni z ogólnemi przynajmniej zasadami wiedzy dziedziczno-biologicznej. Autor tej książki, który przez dziesiątki lat prowadził doświadczenia i próby hodowlane na zwierzętach ssących, poświęcając się wyłącznie temu zagadnieniu, daje w swej pracy hodowcom zwierzyny wiele możliwości łatwego zapoznania się z zasadniczemi zdobyczami wiedzy z tej dziedziny w ostatnich dziesiątkach lat.

Za objekt doświadczeń d-ra Kröning'a służyły w przeważającej mierze psy, jako zwierzęta najbardziej myśliwych interesujące. Niemniej jednak doświadczeń przeprowadził on na sarnach, królikach, kotach i t. p. przyczem doświadczenia te oparte były nieraz na kilkakrotnych krzyżowaniach ras odmiennych

Rozwój świata zwierzęcego regulowany jest przez przyrodę w ten sposób, że każde zwierzę ssące wydaje na świat również zwierzę ssące, każdy ptak — również ptaka. Pośród zwierząt ssących drapieżniki rodzą zawsze drapieżniki, gryzonie — zawsze gryzonie, zwierzęta kopytne — zawsze kopytne. Lecz nietylko zwierzęta tego samego rzędu mają potomstwo im równe. Zwierzęta jednej rodziny, tego samego gatunku, a nawet rasy, płodzą zawsze potomstwo odpowiednie tej samej rodzinie, temu samemu gatunkowi, tej samej rasie. Dzidziczone więc są przez dzieci nietylko wszystkie te właściwości, które charakterem swym odpowiadają ssakom, lub ptakom, lecz i szczególne cechy drapieżników, lub gryzoni, jak również i te, które odpowiadają poszczególnym rodzajom, lub rasom zwierząt. Przekazywane bywają wreszcie potomstwu zupełnie indywidualne osobliwości, które są właściwe tylko dla jednej istoty, jednemu, lub niewielkiej liczbie przedstawicieli pewnego rodzaju, lub rasy zwierząt. Przez dziedziczenie zatem rozumie się zjawisko podobieństwa dzieci do rodziców, a w szerszem znaczeniu tego wyrazu uważa się ogólne podobieństwo potomków do przodków.

Podobieństwo potomków do przodków jest zagadnieniem niezmiernie skomplikowanem, które daje ogromne pole do badań dzidziczności. Zaszczepienie cech rodzicielskich dzieciom możliwe jest tylko przy rozmnoży istot żywych. Istnieją dwa zasadnicze różniące się rodzaje rozmnoży: płciowy i bezpłciowy. Ten ostatni istnieje wśród zwierząt niższego rzędu, oraz wśród roślin; nie istnieje natomiast u zwierząt wyższych, łownych. Tu panuje wyłącznie rozmnoża płciowa. Dwa osobniki odmiennej płci przy pokryciu wydają zarodniki. Rodzaj żeński wydziela jajniki, zaś rodzaj męski — hormony, z których połączenia postają nowe istoty.

Jajniki i hormony są więc przenośnikami właściwości rodziców na dzieci. Jajniki niektórych ptaków, a mianowicie żółtka, posiadają wielkość 1 cm. sześciennego, zaś u zwierząt ssących nie przekrarczają 1 mm sześciennego. Hormony są o wiele mniejsze od jajników, dojrzeć je można tylko pod mikroskopem. Z tych względów badanie dziedziczności u zwierząt jest niezmiernie utrudnione i wymaga długoletnich badań i doświadczeń. To też zasługa d-ra Kröning'a jest tem większa, im więcej w zebrane przez się uwagi włożył trudu i pracy. A że trudu do tej pracy nie szczędził, to fakt, gdyż przez dziesiątki lat na tem polu wytrwale pracował. Przez 15 lat był asystentem prof. Kühna, znanego autora wielu prac z tej dziedziny, jak np.: „Erbkunde" „Rassenpflege" i t. d., następnie zaś kontynuował swą pracę samodzielnie.

W opublikowanej pracy starał się wykazać, jakie następstwa dla istot żywych mają w procesie rozwojowym dziedzicznie przekazane cechy i właściwości rodziców, jak wpływają na kształtowanie się organizmów, na budowę kośćca, na maść i ogólny wygląd zewnętrzny. To poważne zagadnienie współdziałania różnorodnych właściwości, przekazanych dzieciom przez różnej rasy rodziców, zreferowane zostało przez Kröning'a w sposób naukowy, lecz jednocześnie zrozumiały dla każdego czytelnika, ze szczególnem uwzględnieniem charakteru cech matki oraz ich wpływu na rozwój dzieci rodzaju męskiego. Zawarte w tej pracy teoretyczne podstawy z tej dziedziny są po raz pierwszy bodaj tak obrazowo i przystępnie ujęte. Udało się autorowi tem łatwiej, że jest wielkim myśliwym i doświadczonym praktykiem. Dlatego też mógł on, zwłaszcza zagadnienia myśliwskie, jasno i sprecyzowanie wyjaśnić. Wszystkie interesujące myśliwych problemy zostały w tej pracy rozważone i znalazły jednoznaczne, wyczerpujące i bez zarzutu uzasadnione rozwiązanie.

STEFAN M. MACKIEWICZ

Z PRASY ZAGRANICZNEJ

DER DEUTSCHE JAEGER

N. 12/1938, str. 284. J. Henrich. *„Polowanie w Vorarlbergu"*. — Najmniejszy ten kraik Austrji, mierzący zaledwie 2602 km.^{2} obszaru, zajmuje pod względem łowieckim położenie przodujące. W 1937 r. liczono tam 7700 kozic, z czego odstrzelono 742 kozły i 362 kozy, stan jeleni wyniósł 3500 sztuk, odstrzał zaś — 369 byków, 560 łań, ilostan sarn obliczano na 9500 sztuk, z czego odstrzelono 965 kozłów i 555 kóz. W tymże 1937 zarejestrowano 114 spółek łowieckich o obszarze 157.166 ha i 270 łowisk prywatnych o obszarze 103.021 ha, czyli do spółek łowieckich należało 60% terenów łowieckich, a do właścicieli prywatnych — 40%. Powierzchnia łowisk prywatnych wahała się od 115 ha do 400 ha i wyżej. Z ogólnej liczby 114 spółek łowieckich 59 wydzierżawiło swe tereny o obszarze 65.682 ha. myśliwym krajowym, otrzymując czynszu 69.454 szylingów, 55 zaś spółek z obszarem 91.484 ha — za opłatą 110.040 szylingów cudzoziemcom. Z pomiędzy właścicieli łowisk prywatnych 142 wydzierżawiało swe tereny o obszarze 50.115 ha myśliwym krajowym, pobierając czynszu 46.873 szyl., 103 zaś z obszarem 45.611 ha — cudzoziemcom, za opłatą 110.080 szyl. Daje to przeciętną opłatę za 1 ha — od 0.93 do 1.06 szyl. przy dzierżawcach krajowych i 1.54 do 2.42 szyl. przy dzierżawcach zagranicznych. Ogólna suma wpływów z łowiectwa, licząc w tem dochód z czynszu, wartość ubitej zwierzyny i wydatki związane z polowaniem — obliczana jest dla Vorarlbergu na 2.580.700 szyl. rocznie, z czego 1.860.810 szyl. wpływa od myśliwych zagranicznych. Przy kapitalizacji z 3% rocznie stanowi to odpowiednik 86 milj. szylingów. Taką tedy wartość przedstawia łowiectwo dla Vorarlbergu.

N. 12/1938, str. 247. *„Zmotoryzowane kłusownictwo"*. — Policji sztutgardzkiej udało się przyłapać bandę niebezpiecznych kłusowników, która, posługując się dwoma samochodami, organizowała systematyczne napady na domy myśliwskie i weekendowe, a pozatem urządzała zarówno dzienne jak i nocne wyprawy kłusownicze z użyciem broni automatycznej, reflektorów i t. d. na przestrzeni 12 nadleśnictw. Na trop bandytów naprowadziła duża ilość zwierzyny świeżo postrzelonej w okresie, kiedy polowania były zamknięte.

J. G.

ROZMAITOŚCI

NIEZWYKŁE PAROSTKI.

Reprodukujemy poniżej fotografję parostków niezwykle pięknego rogacza, ubitego przez Antoniego hr. Oppersdorffa w łowisku P. Tadeusza Halperta w Jeleńcu (woj. kieleckie), zamieszczając poniżej tabliczkę z pomiarami i oceną tych rożków, dokonaną przez Jerzego ks. Lubomirskiego z Rozwadowa i Xawerego ks. Druckiego-Lubeckiego z Bałtowa.



		c/m	Razy	Punktów
Długość łodygi	pr. 27.50			
" "	lew. 27.00	27.25	0,5	13.62
Waga suchych parost. 640 gr.			0,1	64.—
Objętość par. mierz. wyp. wody w cm.		3.50	0,3	105.—
Zabarwienie	0 — 4			2
Uperlenie	0 — 4			4
Róże	0 — 4			4
Rozłoga (odl. łodyg)	0 — 4			4
Zakończenie odnóg	0 — 2			2
Suma wszystkich punktów:				198.62
Nadzwyczajne dodatki	0 — 5			3
Usterki	1 — 5			5
Istotna suma punktów: (cyfra wartościowa)				196.62

STRZELANIE KRÓLEWSKIE BRACTWA STRZELCÓW KURKOWYCH W WARSZAWIE.

Dnia 29 czerwca r. b. przy pięknej lecz bardzo wietrznej pogodzie, co wpłynęło dotkliwie na przebieg i wyniki zawodów, odbyło się w Szczęśliwicach na strzelnicy Bractwa Strzelców Kurkowych w Warszawie, doroczne strzelanie o godność Króla Kurkowego i dwu rycerzy.

Na strzelnicy zgromadzili się bracia członkowie Zarządu i dość liczny zastęp członków zwykłych. Do Króla Kurkowego na rok 1937, Macieja Nowaka, przemówił brat prezes, Wł. hr. Sobański, wręczając mu dyplom i dziękując za godne sprawowanie jego wysokiego urzędu, poczem ogłosił bezkrólewie i strzelanie o godność nowego Króla.

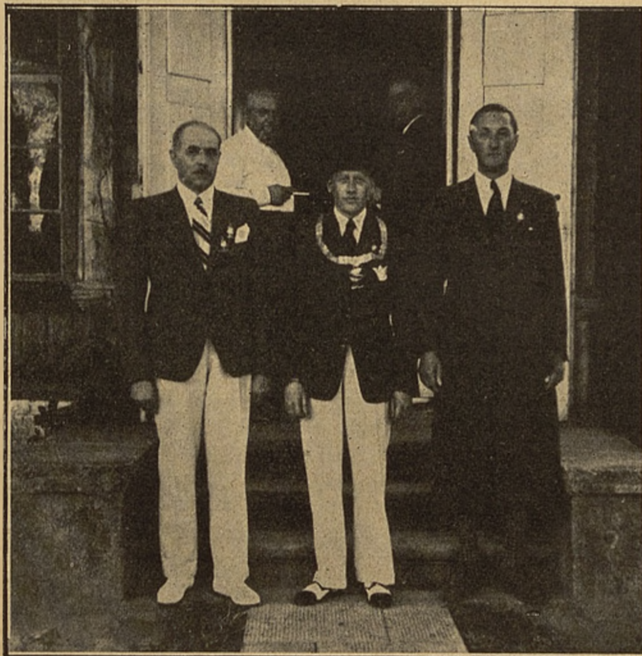
Warunki konkursu były następujące: 1) 5 strzałów z karabinu Aydt'a do tarczy 100 × 20 cm, odległość 185 m., postawa stojąca z oparciem, jeden strzał próbny, czas 15 minut na serję;

2) 10 strzałów z karabinu wojskowego do tarczy 50 × 20 cm, odległość 100 m, postawa leżąca, próbnych strzałów 3, czas 15 minut na serję;

3) 20 strzałów z karabinka sportowego kal. 22, do tarczy 20 × 14 cm, odległość 50 m, przyrządy celownicze otwarte, postawa stojąca bez oparcia, bez pasa, czas 15 minut na serję.

Suma stwierdzonych wyników w trzech konkurencjach, decyduje o przyznaniu tytułów Króla Kurkowego i dwu rycerzy. W razie równości punktów decydują strzały najgłębsze.

Do zawodów zgłosiło się 17 zawodników, ukończyło strzelanie 15. Godność Króla Kurkowego na r. 1938 zdobył ponownie brat Maciej Nowak, pierwszym rycerzem został brat Janusz Markiewicz, drugim — brat Artur Auterhoff.



Król Kurkowy na r. 1938 Brat Maciej Nowak w otoczeniu I i II rycerzy, Braci Janusza Markiewicza (z prawej) i Artura Auterhoffa (z lewej).

W strzelaniu: z karabinu Aydt'a pierwsze miejsce zajął brat inż. Artur Goebel, z karabina wojskowego — brat Jan Leixner, z karabinka sportowego — brat Janusz Markiewicz.

TEGOROCZNE MISTRZOSTWA ŚWIATA W STRZELANIU DO RZUTKÓW.

Międzynarodowe Zawody w strzelaniu do rzutków o Mistrzostwo Europy i o Mistrzostwo Świata na rok 1938 odbędą się w Czechosłowacji, w miejscowości Luhacovice i wyznaczone zostały na 24—29 sierpnia.

Program obejmuje: Wielką nagrodę Czechosłowacji (25-go), Mistrzostwo Europy (26-go) i Mistrzostwo Świata (27 i 28-go)— dla konkurencji indywidualnej i ekip.

Szczegółowe warunki uczestnictwa do przejrzenia w Sekretarjacie Komisji Głównej Strzelectwa Myśliwskiego P. Z. Ł. Zgłoszenia pod adresem M. Gustave Maqueaux, Brno, Travniky 38 — do 30 lipca r. b.

Z POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

DZIAŁ URZĘDOWY.

(Przedruk dozwolony tylko z powołaniem się na źródło).

PROTOKÓŁ POŁĄCZONEGO ZEBRANIA NADZWYCZAJNEGO CZŁONKÓW SEKCYJ OCHRONY ŁOSIA I OCHRONY NIEDŹWIEDZIA, ODBYTEGO W DNIU 24 CZERWCA 1938 R.

Obecni przedstawiciele: Dyrekcji Lasów Państwowych: P.P. M. Doubrawski i W. Korsak, Ogrodu Zoologicznego w Warszawie — P. Z. Krzymuski, Polskiego Związku Łowieckiego — P. P. K. Ks. Radziwiłł, J. Hołyński, W. Garczyński i J. Gieysztor.

Przewodniczący, P. J. Gieysztor, wyjaśnił, iż powodem zwołania nadzwyczajnego zebrania była konieczność wyjaśnienia ilostanu łosi w Polsce i określenia odstrzału w roku bieżącym byków w poszczególnych łowiskach, oraz zajęcia stanowiska co do podania, złożonego P. Wojewodzie Poleskiemu przez K. Ks. Radziwiłła o odstrzał w Ordynacji Dawidgródeckiej starego niedźwiedzia-samotnika wobec ogromnych szkód, czynionych przezeń wśród łosi.

Na podstawie danych, dostarczonych przez obecnych na zebraniu, oraz w drodze pisemnej ankiety, ustalono ilostan łosi w 1938 r. w liczbach następujących:

W lasach państwowych:

a) Dyr. Białowieska:		
dobra Rzepichowsko-Chotynickie	— 150	sztuk
nadl. Byteń, Kosów, Dobry Bór	— 96	„
„ Wiado (Rudnia-Reginów rezerwat i dzierż.)	— 99	„
„ Iwacewicze, Bronna Góra, Stwiga	— 74	„
razem	419	sztuk *)
b) Dyr. Wileńska:		
nadl. Berszty	— 30	sztuk
„ Rudniki	— 55	„
„ Naliboki, Wołożyn, Woropajewo	— 10	„
razem	95	sztuk *)
c) Dyr. Siedlecka:		
nadl. Rajgród	15	sztuk *)
Ogółem w lasach państwowych wraz z przychówkiem 1938 r.	609	sztuk

W łowiska prywatnych:

Ordynacja Dawidgródecka	— 650	sztuk
Tomaszgród p. Syczewskiego	— 25	„
Hrudopol hr. Jundziłła	— 30	„
Pieski hr. Pusłowskiego	— 36	„
Albertyn hr. Pusłowskiego	— 10	„
Goszczewo	— 13	„
Ogółem w łowiskach prywatnych	764	sztuk
Razem na terenie Polski	1.373	sztuk

Wobec tak obliczonego ilostanu łosi uznano za możliwe przyznanie do odstrzału w roku bieżącym:

Ordynacji Dawidgródeckiej	— 10	byków
łowisku w Tomaszgrodzie	— 1	„
„ w Hrudopolu	— 1	„
„ w Pieskach	— 2	„
„ w Goszczewie	— 1	„ **)
„ Rzepichowsko-Chotynickiem	— 6	„
na terenach Dyr. Białowieskiej	— 11	„
„ „ „ Wileńskiej	— 3	„
Razem	35	byków.

*) Bez przychówku tegorocznego, który stanowi łącznie około 80 sztuk.

**) Raz na 2 lata, a więc w roku przyszłym odstrzału nie przyznawać.

Przechodząc do następnego punktu porządku dziennego — odstrzału niedźwiedzia-samotnika w Ordynacji Dawidgródeckiej, wysłuchano sprawozdania K. Ks. Radziwiłła. Ze sprawozdania tego wynika, że od kilku lat zjawia się w lasach Ordynacji w porze letniej duży niedźwiedź, samotnik, spędza tu kilka miesięcy i z nastaniem mrozów uchodzi, przypuszczalnie do lasów Ogarkowskich lub do Z. S. R. R. Niedźwiedź ten należy do typu ścierwiarzy, odżywiających się prawie wyłącznie mięsem. W latach poprzednich ofiarą jego padały głównie dziki, obecnie począł on napadać wyłącznie na łosie, przedewszystkiem na młodzież. Znaleziono dotąd szczątki 5 łoszaków, ubitych przez niedźwiedzia, ale znaleziono również rozszarpaną klempę, stającą widocznie w obronie cielaka, a nawet byka o 5 — 6 pasynkach, który wlókł na sobie niedźwiedzia kilkaset metrów, jak o tem świadczyły ślady na bagnie.

Wobec tego, że dalsze przebywanie niedźwiedzia w terenie łosiowym, obok wypadków bezpośredniego ubicia przezeń większej ilości sztuk młodzieży, może spowodować wypłoszenie łosi z dotychczasowych ostoi i narażenie na wyniszczenie przez kłusowników w terenach mniej chronionych, Ks. Radziwiłł widzi konieczność odstrzału tego niedźwiedzia, co zresztą nie grozi uszczerbkiem dla zasady utrwalenia niedźwiedzi na Polesiu, gdyż ten okaz nie nadaje się na reproduktora, jest już widocznie za stary, trzyma się odosobniony, a może stać się groźnym i dla ludzi.

Zebranie podzieliło ten punkt widzenia i postanowiło nie zgłaszać sprzeciwu co do przychylnego załatwienia podania o odstrzał.

W związku z poruszoną sprawą utrwalenia niedźwiedzi na Kresach Wschodnich, P. Inspektor Doubrawski zakomunikował o postępie tej akcji na obszarze puszczy Białowieskiej. Z ogólnej ilości sprowadzonych do Białowieży 9 sztuk niedźwiedzi, 4 młode zostały wypuszczone na wolność w kwietniu r. b., druga czwórka, w wieku od 15 do 24 miesięcy, będzie wypuszczona w czasie najbliższym, a w ślad za tem wypuszczona będzie z klatki niedźwiedzica wraz z 2-giem przychówku, liczącego obecnie 5 miesięcy. Niestety, z pierwszej partji jeden niedźwiadek padł ofiarą bezmyślnego okrucieństwa mieszkańców wsi położonych w gm. Wierzchowice, którzy, widząc zbliżającego się w zaufaniu niedźwiadka, zabili go drągami. Aby taki sam los nie spotkał drugiego niedźwiadka, specjalnie obłaskawionego, odesłano do do Ogrodu Zoologicznego w Warszawie, zaś równocześnie rozpoczęto akcję, aby przez przykładne ukaranie winnych zabójstwa pierwszego niedźwiadka zapobiedz powtórzeniu się podobnego wypadku.

Zebrani uznali za konieczne, aby Sekcja Ochrony Niedźwiedzia podjęła ze swej strony starania u Pana Wojewody Poleskiego oraz Pana Ministra Rolnictwa i Reform Rolnych o wydanie zarządzeń, biorących w opiekę akcję Dyrekcji Białowieskiej Lasów Państwowych co do przywrócenia niedźwiedzi w puszczy.

P. Prof. Gieysztor zdał sprawę z korespondencji, przeprowadzonej z Międzynarodową Radą Łowiecką oraz z organizacjami łowieckiemi i ochrony przyrody w Czechosłowacji i Rumunji co do skoordynowania czasu i sposobów ochrony niedźwiedzia karpackiego na obszarach granicznych. Międzynarodowa Rada Łowiecka nie podjęła się tego zadania, pozostawiając uregulowanie sprawy wzajemnemu porozumieniu zainteresowanych krajów, zaś Ceskoslovenska Myślivecka Jednota odpowiedziała, iż w Czechosłowacji istnieje obecnie ochrona niedźwiedzia w ciągu całego roku, z tem, iż zezwolenia na odstrzał są wydawane, podobnie jak w Polsce, tylko indywidualnie i jedynie na jesieni, od końca rykowiska jeleni aż do nastania zimy. Wypadki nielegalnego ubicia przechodnich niedźwiedzi przypisać należy wyłącznie kłusownictwu, które zwalczane jest przez straż leśną i policję.

W związku z tem, członek Sekcji, P. Dr. E. Skowroński, wystąpił z projektem, aby w celu utrzymania niedźwiedzi opuszczających gawry, w pobliżu stałych miejsc ich pobytu zobowiązać właścicieli łowisk, względnie ich dzierżawców, do kładzenia w pobliżu gawry padłych koni, jako karmy. Wnioskodawca opierał się na przykładzie dóbr Godulla, które, stosując tę metodę dokarmiania niedźwiedzi na wiosnę, osiągnęły dziś ilostan 35 sztuk niedźwiedzi z 1 sztuki, zanotowanej w 1929 r.

Zebranie, uznając projekt ten w zasadzie za słuszny, prosiło kierownictwo Sekcji o wyjaśnienie, w jakim terminie opuszczają niedźwiedzie gawry w Karpatach Wschodnich.

Przewodniczący Zebrania
JÓZEF GIEYSZTOR

NOMINACJE I ZMIANY ŁOWCZYCH POWIATOWYCH

Zwolniono z dn. 17.V. r. b. na własną prośbę z obowiązku sekretarza Pom. Woj. Rady Łowieckiej p. J. A. Wysockiego Następcą został do odwołania p. L. Dąbrowski z Torunia.

Zwolniono na własną prośbę p. I. J. bar. Kronenberga z obowiązków Łowczego Powiatowego powiatu włocławskiego,

p. Dr. J. Łukowicza W-prezesa Pom. Woj. Rady Łowieckiej z obowiązków Łowczego Powiatowego na powiat Chojnice,

p. Gondka lek. wet. z obowiązków Łowczego Powiatowego na powiat Sępolno.

Wymienionym wyżej Panom Pomorska Wojewódzka Rada Łowiecka składa podziękowanie oraz Dąrz Bór za ofiarną i bezinteresowną pracę dla dobra łowiectwa polskiego.

Łowczymi Powiatowymi mianowano pp. hr. Witolda Broel Platera na powiat Włocławek, Alojzego Pruszaka na powiat Chojnice.

POMORSKA RADA ŁOWIECKA
W TORUNIU.

WALNE ZGROMADZENIA ORGANÓW P. Z. Ł.

POWIAT KOŁO WOJ. POZNAŃSKIEGO

W dniu 31.VII.1938 r. w niedzielę, o godz. 14-ej odbędzie się, w sali p. Jaźwińskiej przy rynku w Kole, Zebranie Organizacyjne członków Polskiego Związku Łowieckiego powiatu Koło. Wzywam wszystkich posiadaczy kart łowieckich do wzięcia udziału w zebraniu i wstąpienia w szeregi organizacji, której celem i zadaniem jest praca nad podniesieniem i należytem utrzymaniem zwierzostanów krajowych, oraz nad rozwojem łowiectwa pod względem gospodarczym, prawnym i etycznym.

ANTONI DUNIN
Łowczy Powiatowy P. Z. Ł.

Redakcja „Łowca Polskiego" uprasza p. Myśliwych o nadsyłanie fotografij żywych jeleni i łań w różnych okresach i fazach rozwoju, celem zilustrowania zamierzonego wydania przygotowanej do druku monografji jelenia na ziemiach polskich.

JAK OBESŁANO KONKURS NA BROSZURĘ PROPAGANDOWĄ

Komisja Propagandowa P. Z. Ł. komunikuje, że na ogłoszony konkurs na broszurę propagandową: „Zadania i cele łowiectwa polskiego, oraz drogi jego rozwoju" nadesłano 9 (dziewięć) prac pod następującemi godłami: „Szabla", „Strażnik Łowiecki", Pieczątka przedstawiająca krzyż Hubertowski, „Ikar", „Rosomak", „Darzbór", „Horned Owl", „Podlasie" i „X. Wołhyr".

Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w najbliższych tygodniach.

DO PANÓW ŁOWCZYCH POWIATOWYCH POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Prosimy Panów Łowczych Powiatowych o nadsyłanie wiadomości o zwoływanych przez siebie Walnych Zgromadzeniach Powiatowych w terminach, pozwalających na celowe umieszczenie w „Łowcu Polskim" tych zawiadomień. Zwracamy uwagę, że zamykamy każdy numer pięć dni przed jego ukazaniem się.

REDAKCJA.

TREŚĆ NUMERU:

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 7,50; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28; miesięcznie zł. 2,50. **Dla członków Polskiego Związku Łowieckiego: za kwartał zł. 6; za pół roku zł. 12; za rok zł. 24;** miesięcznie zł. 2. Numer pojedyńczy 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca 25 gr. Pocztowe Konto Rozrachunkowe Nr. 206, Warszawa 1.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia. Prosimy o nadsyłanie rękopisów wyłącznie pod adresem redakcji.
Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 3-ą i 4-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Polski Związek Łowiecki.

Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Łowieckiego tel. 6-66-15.

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 6-66-29. KONTO P. K. O. 8082.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa

OGŁOSZENIA DROBNE